

# Kołodziejczyk, Edward

---

## Dulag 121 : część 2

---

Przegląd Pruszkowski nr 2, 1-32

---

1981

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych [mazowsze.hist.pl](http://mazowsze.hist.pl).

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

**EDWARD KOŁODZIEJCZYK**

## **DULAG 121**

(część druga)

### **TRANSPORTY DO OBOZU**

Z relacji Władysława Mazurka<sup>1</sup>: „6 sierpnia późnym wieczorem otrzymaliśmy wiadomość, że o godz. 23, z kościoła św. Wojciecha na Woli wyszedł transport do obozu. Do nas dotarli dopiero nad ranem 7 sierpnia. Grupa liczyła kilka tysięcy ludzi znajdujących się w stanie całkowitego wyczerpania zarówno fizycznego jak i psychicznego.

Drogę liczącą ok. 15 km przebyli pieszo, a były to niemal wyłącznie kobiety i dzieci. Były liczne wypadki obłąkania. Ten pierwszy transport został ulokowany w hali nr 1.

Ludność wyszła z Warszawy bez możliwości przygotowania się, stąd często w piżamach i rannych pantoflach.

W pewnej chwili wśród wysiedlonych zauważyłem niewiastę obłąkaną, która według informacji otoczenia utraciła zmysły po stracie najbliższych.

Zwróciłem się do wachmistrza zandamerii, żeby ją wysłać do szpitala w Łowkach. Odpowiedział mi: „Po co? Zaraz ją zastrzelę”. Wyjął rewolwer, wprowadził nabój w lufę i zbliżył się do chorej. Dopiero perswazją, przytrzymywaniem za rękaw i rozpaczliwymi znakami dawanymi otoczeniu, żeby ją zabrali — udało się zapobiec zabójstwu.”

Nadchodzą kolejne transporty.

Relacja dr Izabeli Wolfram, lekarki obozowej — „Transporty zaczynają przyjeżdżać w niedzielę 6 sierpnia, lecz nie rozładowane jadą dalej.

W poniedziałek 7-go zaczynają przychodzić piechotą i przyjeżdżać pociągami. Poniedziałek i wtorek — Wola, środa, czwartek i piątek — Ochota.

Ludzie ci są bardzo zmaltretowani, przechodzili przez drugi obóz na „Zieleniaku”.

Sobota, dwunastego — dalszy ciąg Filtrowej, Suchej, początkowe

<sup>1</sup> AGK BZH, NTN sygn. 75 s. 984, Akta rozprawy przeciwko F. Fischerowi

masy z Grójeckiej, końcowe z Alej Jerozolimskich. Transport ten bardzo duży i baraki zatłoczone.

Przez niedzielę i poniedziałek obóz powoli pustoszeje.

W poniedziałek, czternastego pod wieczór, przychodzi niewielki transport po części z Alej Jerozolimskich, po części z Mokotowa — stan względnie dobry, rannych nie ma.

Przez cały tydzień następny w barakach względnie pusto. Był jakiś transport z Nowogrodzkiej do Marszałkowskiej, transport mężczyzn z Pragi, przywieziono w części szpital im. Dzieciątka Jezus.

We wtorek 22-go sierpnia przyjechał duży transport ludzi z Mokotowa.

Środa, 23 sierpnia — kilkaset osób z Milanówka, głównie młodzi mężczyźni.

24-go pod wieczór — przyjechało Krakowskie Przedmieście i Nowy Świat. (ok. 2000).

25 sierpnia — dalszy ciąg szpitala Dzieciątka Jezus.

26 i 27 — mężczyźni z łapanek domowych w Rembertowie, Wesołej, Babicach i Włochach. Po południu 400 dzieci w wieku od 0—5 lat z domu podrzutków im. księdza **Bodouina** z Nowogrodzkiej.

Następnych parę dni — znów niewiele: troszkę Pragi i okolic jak Zielonka i Kobyłka, trochę Mokotowa, Żoliborza, Marymontu i Bielany. Grupy połapanych w miejscowościach położonych między Warszawą a Pruszkowem. W czwartek 31 sierpnia zaczyna się Starówka. Cały piątek, sobotę i niedzielę przychodzi bez przerwy po dwadzieścia kilka transportów dziennie. Bardzo zły stan fizyczny. Ponad połowa ludzi jest rannych i chorych. Poparzeni.

W nocy z drugiego na trzeciego września nocowało w obozie 43 000 ludzi.

W niedzielę 3 września głuche wieści o przywiezionych samochodami powstańcach. Na teren obozu ich nie przywieźli, podobno umieścili w koszarach zaraz obok, a co robią dalej nie wiadomo.

Poniedziałek, wtorek — dalszy ciąg Starówki i zaczyna się Powiśle. Też bardzo duże ilości (kilkanaście transportów dziennie), ludzie bardzo zmęczeni i chorzy. Rannych mniej niż ze Starego Miasta.

Od piątku, 8 września — idzie już całe Śródmieście, Tamka, Krakowskie Przedmieście, Nowy Świat, Smolna.

Po niedzieli 10 września ilość przyjeżdżających znacznie się zmniejszyła. Przychodzi nadal trochę z Powiśla do Placu Trzech Krzyży.

Czerniaków bardzo zmalretowany.

Około 17-go — Wawrzyszew, Bielany, Żoliborz, Plac Wilsona.

W sobotę, 16 września przywieziono wszystkich mężczyzn wybranych we Włochach od lat 16 do 50. Przedefilowali tylko przez obóz — przeladowano ich zaraz na transport do Rzeszy...<sup>2</sup>

W drugiej połowie września przybywały dalsze transporty z Czerniakowa, Powiśla, Sadyby, Mokotowa.

27 września, po kapitulacji Mokotowa, przywieziono dużą grupę wziętych do niewoli powstańców, których zmieszczono w hali nr 7.

29 września; w transporcie z Żoliborza było szczególnie dużo rannych.

Pomiędzy 29 września, a 1 października przywieziono około 1000 żołnierzy z Mokotowa i Żoliborza.

<sup>2</sup> Documenta Occupationis, I. II s. 210 AGKBZH

Po nich przysły transporty mieszkańców zabranych z rejonu Alej Jerozolimskich i Placu Zbawiciela.

Po upadku powstania, od 3 do 10 października bez przerwy przychodziły duże transporty ludności ewakuowanej z różnych dzielnic Warszawy, a także z łapanek w miejscowościach podwarszawskich.

Ludzi dowożono głównie 3- i 6-wagonowymi pociągami elektrycznymi zarówno kolei podmiejskiej jak i EKD. Transporty przywożone kolejką EKD pędzono pieszo przez cały Pruszków do obozu.

Transporty przywożone koleją skierniewicką wyładowywano przy bramie nr 14 od strony Warszawy i następnie pędzono do odległej o ok. 1,5 km hali nr 5 gdzie przeprowadzano selekcję. Jedynie w pierwszych dniach wywożono wszystkich wysiedlonych bez selekcji do Niemiec. Niekiedy selekcję przeprowadzano bezpośrednio przy bramie nr 14.

9 września, w trakcie rozładunku bezpośrednio z pociągu stojącego na torach zdarzył się nieszczęśliwy wypadek. W nocy, na stojącą na torach ludność najechał niespodziewanie pociąg towarowy jadący do Warszawy. Zginęło 10 osób, a kilkanaście zostało rannych.

Selekcję przeprowadzili pracownicy Arbeitsamtu przy pomocy Gestapo i żandarmów.

Zdarzały się wypadki zastrzelenia osób usiłujących uniknąć przydzielenia do grupy przeznaczonej na wywóz do Rzeszy. Moment selekcji w wielu relacjach określany jest jako najtragiczniejszy, najbardziej dramatyczny w historii obozu. Rodziny rozdzielane krzykiem, razami pejczy, kolb i kopniaków nie miały czasu na rozdzielenie wspólnych bagaży, odzieży i żywności.

Zasady segregacji były proste: zdrowi w wieku 15 do 50 lat (początkowo mężczyźni do 60 lat) przeznaczeni byli na wywóz do Rzeszy. Pozostali tzn. kobiety z dziećmi, starcy, chorzy, ranni i ułomni byli wywożeni do szpitali i na wsie Generalnej Guberni.

Alina Olszewska, która pracowała w obozie jako siostra PCK pisze: „W obozie działy się sceny dantejskie — rozdzielano matki od dzieci. Warunki bytowania w obozie były straszne — w niektórych halach było rozrzucone trochę zdeptanej słomy, nie podawano żadnych racji żywnościowych, część ludzi koczowała pod gołym niebem.”<sup>3</sup>

Ludzi spędzano wielkimi gromadami do pustych hal fabrycznych pozbawionych jakichkolwiek warunków.

## WARUNKI EGZYSTENCJI W OBOZIE

Warunki sanitarne były straszne — brak światła, wody, żywności i latryn. Takie warunki zabiły w ludziach poczucie wstydu, zapomnieli co to duma i honor. Człowiek w trudnych warunkach szybko dziczeje — pozostaje instynkt przetrwania. Więźniowie z konieczności załatwiali swoje potrzeby wewnątrz hal. Nikt nie sprzątał, przybawało odchodów, szmat i papierów. Zewsząd dobiegały odgłosy płaczu i jęków.

Wspomina Aleksandra Borysiewiczowa: „W obozie znalazłam się po upadku powstania. Wrażenie straszne. Duża hala zarzucona brudną, gnijącą słomą, rynsztokami sływa cuchnąca ciecz-mocz. Na tej śmierdzącej słomie leżeli lub siedzieli ludzie otepiali, niepewni swojego losu.

<sup>3</sup> List w zbiorach PTKN

Byliśmy tak wyczerpani fizycznie, że nawet kocioł-kuchnia z zupą, który podjechał pod halę nie mógł nas poderwać z miejsca.<sup>4</sup>

Cytowany już Tomasz Matraś pisze: — „Siedzieliśmy na deskach, pod którymi stały kałuże wody. Nikomu nie wolno było nigdzie wychodzić.”

Władysława Piotrowska: — „Pognano nas i znaleźliśmy się w ogromnej hali. Pamiętam, że w niedalekiej odległości były szyny i rampa gdzie ładowano transporty ludzi i wysyłano na roboty. Ogromna hala była zatłoczona ludźmi. Będąc u kresu sił oparłam się o słup podtrzymujący dach, gdy podniosłam wzrok zobaczyłam, że oblepia go jakieś robactwo. Pod sobą miałam grząskie błoto przerabiane przez dziesiątki tysięcy stóp. Siedziałam otepiała i głodna<sup>5</sup>.”

Alina Makulska — „Pamiętam, była szeroko otwarta brama — to obóz. Wchodzimy. Jest zupełnie ciemno, jakieś tylko z daleka widoczne, mdłe światła. Stoją jacyś ludzie. Pytamy dokąd nas pędzą. Uspokajają. Słyszę wywoływane w ciemności nazwiska, adresy — ludzie w ten sposób się szukają. Idziemy dalej, wydaje mi się, że dość długo. wreszcie wpędzają nas do jakiegoś pomieszczenia. Była to, jak sobie przypominam — ogromna hala. Jak się okazało, zostawiają nas tu na noc. Ludzi mnóstwo, ciemno, każdy gdzie może szuka skrawka wolnego miejsca. Jestem krańcowo zmęczona i sparaliżowana strachem. Wszyscy przeprowadzają najrozmaitsze kalkulacje — co z nami zrobią? Ludzie chodzili po tej hali, szukali się, nawoływali. Nic nie dano nam jeść. Nasłuchujemy niemieckich pokrzykiwań — pewnie zaraz wpadną i zaczną nas mordować, a może będą wrzucać granaty jak do piwnic.

Nie wiem czy ktoś spał. Ja oparta o matkę pamiętam, że byłam bardzo czujna, co chwila przerażona zrywałam się z drzemki. Skoro świt wpadli Niemcy w pełnym rynsztunku. Z krzykiem kazano nam wstawać i wychodzić. Strach i niepewność były straszne. Mają nas segregować i wywozić. Tłok, ludzie się kręcą w tę i z powrotem, płacz, modlitwy — jak w schronie — jak w piwnicy... Podobno gdzieś można dostać kawę, ale my trzymamy się razem żeby nie zgubić się, nie zginąć.

Niemcy wypędzają nas na podwórze — ogromne.

Ja byłam dość wysoka — matka żeby mnie ratować zdążyła mi zawiązać jakąś kokardkę na czubku głowy, co miało oznaczać, że jestem jeszcze małym dzieckiem. Na placu pełno ludzi pilnowanych przez Niemców. Selekcja. Wyglądało to tak — tłum ludzi ustawiany i popychany przez uzbrojonych Niemców, a przed nami selekcjonerzy. Stopniowo się przesuujemy, podchodzimy do nich. Nagle straszny krzyk. Oglądam się, widzę jak Niemiec goni, dopadł człowieka, który próbował uciekać. Starszy mężczyzna upadł bity i kopany. Takie sceny widziałam jeszcze kilkakrotnie. Zbliżyliśmy się. Ojca mojego popchnięto w lewą stronę. Nas w prawo.

Przypominam sobie jednak dokładnie jak Niemiec przeszył mnie wzrokiem i już myślałam, że oderwie mnie od matki. Oglądamy się. Ojciec zrobił parę kroków żeby się z nami pożegnać — Niemiec rozświeczone krzyczy, każe wracać. To było ostatnie pożegnanie. Wywieziony do obozu już nie wrócił... Idziemy razem z ludźmi naszej grupy. Wchodzimy do jakiegoś budynku, też duża hala, ale nie taka jak w

<sup>4</sup> List w zbiorach PTKN

<sup>5</sup> Relacja w zbiorach PTKN

nocy. Na ziemi trochę brudnej przemielonej słomy. Siadamy. Nie wiem kiedy ostatni raz coś jadłam — wtedy o tym nie myślałam.

Nie odzywałyśmy się do siebie — to były chyba chwile refleksji nad naszym losem. Wtedy zaczęłyśmy się wyraźnie i coraz częściej drapać — w pruszkowskim obozie wszy obeszły nas dokładnie. Pierwszy raz w życiu widziałam wtedy wszy — łaziły po tej słomie. Nie pamiętam jak długo tam siedzieliśmy. Następnie wyrzucono nas z hali do pociągu. Po drodze rozdawano po puszcze mleka skondensowanego dla dzieci. Załadowano nas do pociągu. Ściśle. Wtedy zobaczyłam ludzi wolnych"...<sup>6</sup> Jeszcze fragment jednej relacji — Kazimierza Paczkiewicza: — „Wyładowano nas przed murem Warsztatów Kolejowych. Na strażnicach czuwali SS-mani. Po przekroczeniu bramy znaleźliśmy się wśród tłumu warszawiaków rozlokowanych w dużych halach. Stali, siedzieli lub leżeli na swych tobołkach oczekując na selekcję i nieznaną los. Wiele kobiet z dziećmi płakało — rozdzielonych z mężami i ojcami. Opuszczone psy wyły w halach po rozłące ze swymi opiekunami. Wszędzie rozpacz, fizyczne zmęczenie i głód. Ogólne „latryny” przepelnione — wspólne z kobietami, mężczyznami i dziećmi. Wielu chorych bez sił do dalszej wędrówki. Istny koszmar”.<sup>7</sup>

W obozie rozległ się wielki gwar, płacz, nawoływania, krzyki i strzały. Poprzez mur, dramatyczne odgłosy docierały do okolicznych mieszkańców budząc grozę i przerażenie. Śmiertelność w obozie była stosunkowo duża i ciągle wzrastała w miarę jak przybywały coraz bardziej wycieńczone powstaniem grupy ludności. Nie prowadzono prawie żadnej rejestracji zgonów poza notatkami ks. Sikory, o których będzie mowa dalej.

Na szczęście dopisywała pogoda, było ciepło.

W końcu sierpnia jednak w obozie zaczęła się szerzyć czerwonka. Chorych grupowano w hali nr 8, a następnie kierowano do szpitala w Tworkach.

Jedynym wysiłkiem jaki podjęli Niemcy żeby poprawić warunki było wybudowanie przy halach prowizorycznych, osłoniętych słomianymi matami latryn.

5 września obóz odwiedził gen. Erich von dem Bach, który rozmawiał również z prezesem Delegatury RGO ks. Tyszką.

W czasie tych rozmów — jak stwierdziła Kazimiera Drescherowa, która była tłumaczką ks. Tyszki — ksiądz prosił Bacha o nierozdzielanie rodzin wywożonych do Rzeszy. Bach zgodził się, poręczył swoim słowem honoru... W godzinę po wyjeździe Bacha z obozu, pani Drescherowa będąc w „zieonym wagonie” usłyszała jak szef obozowego Gestapo Diehl dyktował rozkaz, że „z polecenia generała Bacha wywożenie ludzi razem z rodzinami do Rzeszy jest zabronione...”

## SZPITAL OBOZOWY

Na obozowy szpital w początkowym okresie przeznaczona była hala nr 2, a raczej jej druga część. Hala nr 2 podzielona była na dwie części; pierwszą do badań wstępnych i drugą, szpitalną — do badań dokładniejszych.

<sup>6</sup> Relacja w zbiorach PTKN

<sup>7</sup> Relacja w zbiorach PTKN

W pierwszej części badał dr König, a w drugiej lekarz — jeniec Anikiejew. Urządzeń szpitalnych nie było żadnych, były rozłożone maty słomiane, na których chorzy mogli ewentualnie leżeć, lekarze mieli do dyspozycji jedynie podręczną apteczkę.

W drugiej części hali było 6 pomieszczeń, z których trzy miały pryncie do leżenia, a w pozostałych stały drewniane regały na narzędzia, na które chorym było bardzo trudno się wdrapać. Wikt szpitalny był nieznacznie lepszy i stamtąd łatwiej było wydostać się z obozu, dlatego wszyscy starali się tam dostać. Później nieco, został utworzony szpital w hali nr 8.

## ZYCIE W OBOZIE

W każdej hali znajdowały się szyny i tzw. doły rewizyjne do reperacji i przeglądu podwozi. Doły te spełniały rolę latryn co powodowało, że w halach panował straszny zaduch.

Ogólne zaopatrzenie w halach wahało się od 5 do 30 tys. ludzi. Po przyjeździe transportu rozdawano chleb i ersatz-kawę. Ludność była bardzo wygłodzona. O zdobyciu kawałka chleba, czy łyżki zupy często decydowała siła i łokiec. Raz nieszczęśliwie się zdarzyło, że przewrócono wóz z beczkami zupy. Najbardziej dotkliwy był brak naczyń i ludzie nauczeni doświadczeniem zabierali ze sobą w dalszą poniewierkę te naczynia, które tu udało im się zdobyć. Wykorzystywano wszystko co pozwalało nabrać odrobinę kawy czy zupy: puszki, słoiki, klosze do lamp, zgięte z kawałka blachy pudełka, a nawet... kapelusze i wreszcie złączone razem dłonie.

W okresie od 23 sierpnia do 14 września przez obóz przechodziło dziennie 10 000 ludzi. Niemcy zainstalowali w tym czasie wagon-odwzalnianię, ale jej wydajność wynosiła tylko 23 osoby na godzinę — tak, że tylko znikoma liczba osób mogła być odwszona. Korzystał z tego głównie personel kuchni.

## ŻNIWO ŚMIERCI

Wielu byłych więźniów i pracowników obozu „Dulag 121” twierdzi, iż w obozie odbywały się egzekucje. Twierdzenia te w większości wypadków opierają się na dedukacji i poszlakach. Naocznych świadków jest bardzo niewiele. Mimo to nie ulega wątpliwości, że w oczach Niemców, szczególnie w pierwszym okresie, wszyscy warszawiacy to „bandyci”, że dopiero od momentu kapitulacji powstania zaczęło mieć jakieś znaczenie prawo wojenne.

W pierwszej połowie sierpnia rozstrzelano 50 osób na gliniankach koło Pruszkowa. Naoczni świadkowie twierdzili, że byli to „warszawiacy z obozu”. W czasie przeprowadzonej po wojnie ekshumacji zdolano zidentyfikować zaledwie dwie czy trzy osoby, lecz nie można jednoznacznie odtworzyć ich ostatnich dni czy miesięcy życia. Znając bestialstwo Niemców wobec ludności cywilnej i powstańców nie ulega wątpliwości, że i więźniowie Pruszkowa byli podobnie traktowani. Po jednej z egzekucji na gliniankach ocalał młody mężczyzna, który był tylko ranny, ale przy pomocy mieszkańców i personelu szpitala na Wrzesinie koło Pruszkowa udało mu się zbiec. Prowadzone obecnie

poszukiwania tego jedyne go świadka nie dały niestety rezultatów. Rozstrzeliano również w najbliższym otoczeniu obozu. Tuż przy budce wartownika obok obozu przy szosie do Piastowa zastrzelono 5 osób. Z relacji Władysława Mazurka: — „Niemcy mieli jeden argument — strzały, jedno okrzyknięcie — bandyci. Co chwila słychać było strzały, co chwila przynoszono do opatrunku postrzelonego. Wzdłuż trasy wagonów, w pobliżu murów leżały trupy zastrzelonych”

Świadek Pętkowski na pytanie prokuratora odpowiada: „wówczas kiedy ja byłem (w bozie), nie było 5 minut, żeby nie padały strzały. Ja osobiście zastrzelonych nie widziałem, ale strzały były ciągle, obchodzenie się z ludźmi było gorsze niż z dzikim bydlęciem”.<sup>9</sup>

Zeznanie Jana Krzysztoforskiego z 16.04.1946 r.:

„Na terenie obozu zdarzały się przypadki zastrzelenia za próbę ucieczki. Dwie sanitariuszki — nazwisk nie znam — zostały zastrzelone za nielegalne wyprowadzenie warszawiaków z obozu. Inną sanitariuszkę, za próbę pomocy wepchnięto do transportu i wywieziono do Niemiec.”<sup>10</sup>

Śmiertelność w obozie wzrastała w miarę jak przybywały grupy wysiedlonych z dzielnic gdzie toczyły się szczególnie ciężkie i długotrwałe walki. Większość była ranna, poparzona i kontuzjowana. Zdarzały się wypadki śmierci z głodu. Marły zwłaszcza małe dzieci, a także ludzie najstarsi.

#### ZEZNANIE O. MARIANA SIKORY

Zeznanie złożone przez świadka spisane zostało 14 maja 1946 roku przez sędziego Najwyższego Trybunału Narodowego w Warszawie.<sup>11</sup> „W dniu 21 sierpnia 1944 roku żołnierze Wehrmachtu otoczyli okolicę Dworca Wschodniego, po czym wszystkich mieszkańców wyrzucili z domów i spędzili na Plac Skaryszewski. Stąd transport załadowano do pociągu towarowego. Ludzie mogli zabrać ze sobą trochę rzeczy. Z Placu Skaryszewskiego transport odszedł o godz. 13.00. Nie wiedzieliśmy dokąd nas wiozą, chodziły pogłoski, że do obozu przejściowego w Pruszkowie, gdzie przybyliśmy około godz. 17.00. W obozie przy 14 bramie nastąpiła segregacja osób przywiezionych. Mężczyzn ustawiano osobno, gdzie przydzielono i nas, księży. Kobiety i zakonnice osobno, matki z dziećmi i starców — osobno. Poszczególne grupy zaprowadzono do różnych baraków. Mnie razem z mężczyznami zaprowadzono do baraku VI skąd wywożono transporty do Niemiec.

Młode kobiety odprowadzano do baraku IV, a starców i kobiety z dziećmi do I.

Przy segregacji naszego transportu widziałem tylko SS-manów.

W baraku VI oprócz mnie było jeszcze 10 księży i zakonników. W dniu naszego przyjazdu do obozu, a więc 21 sierpnia przybył do obozu z wizytą ks. biskup Szlagowski. Niemcy chcieli mu pokazać, iż Polacy w obozie mają dobre warunki i zaprowadzili ks. biskupa tylko do baraku dla kobiet, gdzie warunki były najlepsze.

<sup>8</sup> AGKBZH, NTN sygn. 75 s. 984 Akta rozprawy przeciwko L. Bischerowi

<sup>9</sup> pp. cit.

<sup>10</sup> op. cit. sygn. 61 s. 210

<sup>11</sup> Akta OKBZN sygn. 23



W chwili gdy biskup miał barak nr 6 Niemcy chcieli go przeprowadzić dalej, jednak mężczyźni z baraku zaczęli wołać by ich nie mijał. Jednocześnie ks. biskup zauważył stojących mnie i innych księży. Wówczas zatrzymał się przed barakiem i mężczyźni opowiedzieli mu, że Niemcy rozdzielają rodziny. Biskupa oprowadzał komendant SS w obozie — Diehl i wtedy po raz pierwszy go zobaczyłem.

Ks. biskup przez tłumacza zwrócił się do Diehla by zwolniono z obozu księży oraz, by nie rozdzielano rodzin przed wysłaniem transportu, na co Diehl w obu wypadkach obiecał, że księży zwolni i rodziny nie będą rozdzielane. Dotrzymał tylko słowa co do zwolnienia księży — rodziny rozdzielano nadal.

Nazajutrz po wizycie biskupa Szlagowskiego ja i inni księżą zostaliśmy zwolnieni z obozu. Ksiądz biskup prosił mnie jednak, żebym pozostał na terenie obozu — by nieść pociechę duchową ewakuowanym. Wobec tego ja i ks. Wiktor Bartkowiak pozostaliśmy w obozie jako kapelani. Diehl wydał nam przepustki na wchodzenie do obozu, zamieszkałymi w Pruszkowie. Od tego czasu prawie codziennie chodziliśmy do obozu: Od początku mojego „urzędowania” zająłem się umiarkującymi i od tego czasu zacząłem robić spis zmarłych na terenie obozu. Pierwszy zgon mam zanotowany w dniu 3 września 1944 r. Do nr 43 sam osobiście sporządziłem i osobiście widziałem osoby zmarłe. Od nr 43 spisywałem zgony na podstawie wyciągów z aktów zgonu parafii żbikowskiej u księdza proboszcza Dyżewskiego. Dwie ostatnie uwagi w moim spisie dotyczą zmarłych w szpitalu powiatowym w Tworkach, bez podania nazwisk. Spisy zmarłych prawdopodobnie można otrzymać w tych szpitalach. Ja tego nie wynotowałem ponieważ spisy są zbyt obszerne. Zmarli spoczywają na cmentarzu żbikowskim i są również odnotowani w księdze zgonów parafii Żbików.

Drugi dotyczy zmarłych z powodu wypadku, o którym powiedział ks. Bartkowiak. W początkach września 1944 r. na skutek wpadnięcia między zderzaki pociągu (było to najechanie drugiego pociągu po sąsiednich torach — przyp. EK) zostało zmasakrowanych 10 osób — 7 kobiet i 3 mężczyzn (było także 12 rannych — przyp. EK).

Zwłoki ksiądz Bartkowiak oglądał osobiście, przy czym zwłoki te nie były zidentyfikowane. Gdzie te zwłoki zostały pochowane tego dokładnie nie wiem, przypuszczam, że na cmentarzu żbikowskim.

O ile mi wiadomo, zmarłych na terenie obozu nie chowano. Zmarłych w obozie służba sanitarna zanosila do szopy przy baraku 2 i tu miały miejsce: pokropienie, modlitwy, sprawdzenie dokumentów, zapisanie, następnie wozem danym przez RGO zwłoki wywożono na cmentarz żbikowski. Furman za każdym razem zabierał kennkarty osób zmarłych i ich drobiazgi i wszystkie te rzeczy oddawał w kancelarii parafii Żbików, gdzie urzędnik stanu cywilnego wpisywał zmarłych do księgi zgonów.

O ile mi wiadomo, przed moim przybyciem do obozu spisy zmarłych nie były robione na terenie obozu, RGO trupy odstawiało na cmentarz bez spisów. Zwykle każda partia zwłok była chowana we wspólnej mogile. Rzeczy pozostawione przez zmarłych były oddawane ubogim.

W spisie pod nr 29 i 41 figurują dwa wypadki zgonu na skutek zastrzelenia przez Niemców. Powodem zastrzelenia była próba ucieczki.

W baraku 2 odgrodzone było miejsce przeznaczone dla gruzlików, były tam sporządzone prycze, jedne nad drugimi. Warunki higieniczne

były tam okropne. W VIII baraku zrobiono punkt obserwacyjny dla chorych na choroby zakaźne.

Na czele tego niby szpitala stał jeniec rosyjski w randze pułkownika. Były tu ustawione prycze — chorzy nie otrzymywali nic do przykrycia. Ile osób zmarło na choroby epidemiczne można by się dowiedzieć w szpitalach, gdzie chorych zakaźnie umieszczano. Zdarzało się, że chorych takich zabierano na transport ze zdrowymi i chory taki umierał w czasie drogi. Najczęstszą chorobą była czerwonka.

We wrześniu 1944 r. (daty nie pamiętam) czekając na podpisanie zwolnień w „zielonym wagonie” slyszalem telefoniczną rozmowę tam prowadzoną. Jeden z SS-manów powiedział przez telefon po niemiecku „do Oświęcimia dwa tysiące”. Z tego wnoszę iż w „zielonym wagonie” robiono spisy transportów — nie robiono na pewno imiennych, ale robiono liczebne.

Wszystkie dokumenty z terenu Pruszkowa Niemcy zdążyli zabrać przed wkroczeniem Armii Czerwonej w 1945 roku.

Z naszego transportu ze Skaryszewskiej młode dziewczęta były skierowane do obozu w Mauthausen — a stąd do pracy u gospodarzy. Słyszałem na terenie obozu, iż ze Starówki przez obóz przeszło około 60 000 warszawiaków. Diehl spodziewał się ze Śródmieścia 200 000 osób. Powstańcy w obozie w Pruszkowie byli w dwóch grupach i z Mokotowa i Żoliborza. Obie grupy przybyły w drugiej połowie września. Powstańców w obozie w Ożarowie było podobno 12 tysięcy — głównie ze Śródmieścia.

Na terenie obozu w Pruszkowie powstańców lokowano w baraku VII. W czasie pobytu w obozie byli oni zamknięci w tym baraku i pilnie strzeżeni. Nie wpuszczano tam nawet mnie. Gdy przybył pożegnać się z nimi ks. biskup Szlagowski. Niemcy przyspieszyli transport i tym samym uniemożliwili biskupowi zobaczenie się z jeńcami”.

Do zeznań ojca Sikory załączony jest niewielki 100-kartkowy zeszyt w ciemnych okładkach. Gdzieś w połowie zeszytu, założony kartką znajduje się spis zmarłych w obozie. Formuła mniej więcej podobna: „Jolanta Janina Szymborska córka Tadeusza i Olimpii ur. 20.3.1944 r. w Warszawie przy ul. Chłodnej 18 m. 50 zmarła w Pruszkowie w Obozie Przejściowym (Dulag 121) dn. 3.9.1944 r. o godz. 7. Pochowana w Żbikowie. Nr aktu 425”. Wiele jest zapisków rozpoczynających się „NN” — nieznane dziecko, nieznane kobieta itd.

„Domański Stefan ur. 6.3.1921 r. AK, oficer, zamieszkały Warszawa Kozielskiego 12, uczeń, zmarł 2.X.1944 r. w godz. popołudniowych”. Przy tej notatce jest dopisek „Nazwisko prawdopodobnie nie własne bo wyglądał na starszego człowieka lat ok. 40—45, a nie 23”.

4 października ks. Sikora zarejestrował 4 osoby, piątego — 10 osób.

„Dnia 7 października: „NN kobieta pełna zdrowia, silnej konstrukcji została zabita uciekając z transportu. Zmarła na skutek przerwania tętnicy udowej prawej (upływ krwi). Znalaziono przy niej: broszkę — wartość 50 zł., 4180 złotych, 2 obrączki, 2 pieścionki, parę spiniek mankietowych, 1 bransoletkę złotą i 1 srebrną puderniczkę, klucze, budzik, 1 zegarek złoty, 1 pończacany, futro damskie skrawione oddano do RGO oraz trzewiki damskie”. Pieniądze i kosztowności obrócono na cele dobroczynne. Pieniądze za sprzedane kosztowności: broszka — 50 zł., obrączki — 870 zł. 2 zegarki — 6000 zł., spinki — 600 zł., złota bransoletka — 1600 zł. (przekazano na ubogich).

Santarek Marian Stanisław ur. 1901 r., właściciel restauracji zastrzeżony na Warsztatach Kolejowych w czasie ucieczki 23.X.44 r. wieczorem<sup>12</sup>.

W spisie 56 zapisów, nie licząc 10 osób, które zginęły w wypadku, wiele dzieci kilkumiesięcznych, kilkuletnich.

W innym miejscu zeszytu zapisek: „Rzeczy, które otrzymałem od p. Szymańskiego Stefana — kierownika hali 7 dla koniecznie potrzebujących wysiedlonych z Warszawy od 21—25.X.1944 r.: 1 kapa, 6 koszul, 2 szaliki, 7 kalesonów, 1 prześcieradło, 1 spodnie, 3 ręczniki, 2 p. rękawiczek, 1 p. skarpet, 1 swetr bez rękawów, 1 koperta, 3 dziecinne koszulki, 2 staniczki dziecięce”. Dalej zapiski komu dano te dary, w nawiasie uwagi: „dar genewski”. M.in. „Jaśkowi Bojanowskiemu z Warszawy — koszulę i kalesony, p. Fijałkowskiemu Józefowi dałem półbuty (jeszcze w dość dobrym stanie).”<sup>12</sup>

W obozie zdarzały się wypadki śmierci głodowej starców i dzieci np.: 3 września, w hali nr 1 zmarło 8 małych dzieci.<sup>13</sup> Jerzy Bogusz zeznał: „Raz widziałem jak prowadzoną grupę powstańców umieszczono w osobnym baraku. Wkrótce z tego baraku usłyszałem strzały. Domyślałem się, podobnie jak i inni ludzie z mojego baraku, że to zapewne strzelano do powstańców”<sup>14</sup>.

O dramatycznych losach 112 chłopców z Domu Poprawczego w Strudze koło Warszawy opowiada kierownik tego domu ks. Jan Zawada. W zakończeniu relacji czytamy: „Tych których nie wymordowano w Ogródzie Saskim przyprowadzili Niemcy na drugi dzień do Pruszkowa i tam kto nie zdążył uciec, 9 sierpnia wieczorem wystrzelano. Świadkiem tego był Stanisław Maciejewski kapitan W.P.”<sup>15</sup>.

## RATUNEK

Najprzeróżniejszych wybiegów i podstępów używali polscy lekarze, pielęgniarki i cały personel obozowy, aby uchronić więźniów od wywozu na roboty do Niemiec. Cały wysiłek kierowano na zakwalifikowanie jak największej ilości osób bądź do grupy chorych, bądź z innych powodów niezdolnych do pracy. Gdy się to udało „szczęśliwiec” wyjeżdżał transportem do GG, gdzie znajdował opiekę na wsiach i w miasteczkach...

Dr Ryszard Mielczarz napisał: „W drugim dniu pobytu spotkałem kol. medyka Masłowskiego, który przedstawił mnie dr Julii Bieleckiej, lekarzowi hali 4. Dr Bielecka spowodowała, że zaliczono mnie i kolegę do sanitariuszy. Otrzymaliśmy opaski Czerwonego Krzyża oraz przepustki pozwalające poruszać się między halami bez prawa wyjścia z obozu i tak staliśmy się jej pomocnikami. Zadanie polegało na zwalnianiu z obozu kogo było można. Robiło się listy chorych, a dr Bielecka wpisywała fikcyjne rozpoznanie chorób. Należało wpisywać nazwę chorób, których Niemcy panicznie się bali. Czerwonka, tyfus, gruźlica i weneria miały największą szansę powodzenia. Po sporządzeniu listy szło się do niemieckiej komisji lekarskiej w hali nr 2 w towarzystwie

<sup>12</sup> Akta OKBZN sygn. 23

<sup>13</sup> OKBZH w W-wie, Kolekcja „Ob” sygn. 115 k. 9, 11

<sup>14</sup> Zeznania świadków, D s 1/75

<sup>15</sup> AGKBZH, Kolekcja „Z”, Z 1100/VI

wachmana wraz z chorymi (...) Zwolniony otrzymywał zaraz przepustkę zwalniającą z obozu. Ludzi o znanych nazwiskach nie można było Niemcom pokazywać z obawy przed rozpoznaniem i aresztowaniem. Wpisywało się zatem te osoby na listę chorych, z odpowiednim rozpoznaniem, a na ich miejsce na komisję kierowało się dopasowanych 70-latków o bardzo złym wyglądzie. Mówiło się komisji, że kennkartę zgubił w Warszawie. Po zwolnieniu przez komisję przepustkę wręczało się zapisanemu na listę i wychodził on legalnie z obozu, a dziadek był zwalniany w dalszej kolejności.

Po czterech tygodniach naszej działalności „wpadła” nasza współpracownica pani Stanisława Rudka prawdopodobnie za sprawą tego samego volksdeutscha co pani Drescher. Została doprowadzona do „zielonego wagonu” i skierowana do transportu do Dachau. Z transportem udało się ją wyciągnąć i przekazać poza obóz. My z kolegą byliśmy poszukiwani, więc nie wróciliśmy do legowiska w hali nr 4. Noc spędziliśmy w stajni z końmi niemieckimi. Nazajutrz kolejarz zatrudniony przy demontażu maszyn pomógł w ucieczce z obozu.”<sup>16</sup>

Agrypina Nowicka-Reder dziękując dr Bieleckiej za uratowanie przed wywiezieniem do Niemiec pisze: „Dr Julia Bielecka była lekarzem w Miejskiej Szkole Handlowej w Warszawie przy ul. Marszałkowskiej, w której uczyłam w roku szkolnym 1943/44.

W obozie przejściowym w Pruszkowie moje uczennice powiadomiły mnie, że na naszej hali urzęduje dr Bielecka. Udało mi się do niej dotrzeć. Pani doktor dała nam skierowanie do baraku chorych z listem polecającym do jednego z lekarzy rosyjskich. Podejrzanom o gruźlicę mierzono przez tydzień temperaturę, którą udawało nam się zawsze podnieść do wysokości właściwej gruźlikom. (...) Po tygodniu, z transportem chorych zostałyśmy szczęśliwie przewiezione do Częstochowy.”<sup>17</sup>

Józef Żarczyński działał jako lekarz obozowy: „Lekarzy pruszkowskich dr Izabelę Wolfram i dr Julię Bielecką znałem z terenu pracy obozowej. Z dr Bielecką byłem nawet w dość częstych kontaktach w związku z ustalaniem list chorych do podpisu przez Königa, który do Polaków odnosił się bardzo życzliwie. Nam zależało na wyprowadzeniu jak największej ilości ludzi młodych, bez względu na ich powiązania polityczne czy społeczne. Pamiętna, znakomita pogoda uratowała ludność warszawską przed kataklizmem chorób zakaźnych. Do ambulansu zgłaszali się ludzie przeważnie z nic nie znaczącymi dolegliwościami. Wpisywało się ich na listy po 25—30 osób głównie z rozpoznaniem: czerwonka. Listy robiło się w dwóch egzemplarzach, przez kalkę, na papierze kancelaryjnym. Listy podsuwały do podpisu wspomnianemu już dr Königowi siostry Czerwonego Krzyża: panie Drescherowa i Tyszkiewicz. Po czym listy szły do „zielonego wagonu”, w którym kontrolowało je Gestapo. Oryginał listy zostawał w Gestapo, a kopię odsyłało do ambulatorium, przed którym o oznaczonej porze gromadzili się zapisani „chorzy” do wyjścia do szpitala zakaźnego, który zorganizowano w pobliskich Tworkach. Wkrótce Niemcy zorientowali się, że za dużo młodych ludzi, a więc najcenniejszy element, przecieka im przez obóz. Wyszło zarządzenie, że w grupach wyprowadzać można ludzi chorych tylko po pięćdziesiątce. Ale i z tą prze-

<sup>16</sup> List w zbiorach PTKN

<sup>17</sup> List w zbiorach PTKN

szkodą też poradziłyśmy sobie..."<sup>18</sup> A o doktorze Żarczyńskim tak pisze Alina Bleszyńska: „To, że znalazłem się na wolności zawdzięczam dr Józefowi Żarczyńskiemu — nadzwyczaj energicznemu i odważnemu. Jako chora (fikcyjnie) na czerwonkę zostałam skierowana do szpitala w Tworkach na oddział chorób zakaźnych. Po 10-dniowym pobycie w obozie wywieźli nas, zdrowych i chorych, na wymoszczonym słomą wozie konnym do Tworek. Tam cały personel lekarski przyjął nas nadzwyczaj serdecznie, oddzielając zdrowych od chorych. Mieliśmy prawdziwy odpoczynek — na łózkach czysta pościel. Ten tylko zrozumie co odczułam, kto sam to przeżył..."<sup>19</sup>

O swoich przygodach mówi dr Julia Bielecka: „— Czasem osiągało się sukces tupetem i pewnością siebie. Pamiętam jedno przejście ze wspomnianym już dr Wernerem. Pracowałam wtedy w hali nr 4, był tam moim bezpośrednim przełożonym, byłam stale przygotowana na wysoki jego humorów. Pewnego dnia zgłosił się do mnie do ambulatorium młody człowiek. Ktoś podał mu moje nazwisko — podchodząc od razu zapytał czy mówię z dr Bielecką. Zrobiło mi się trochę nieprzyjemnie, bo świadczyło to o tym, że zna mnie zbyt wiele osób. Po upewnieniu się, że jestem tą, której poszukiwał, oświadczył krótko, że musi jak najprędzej wydostać się z obozu. Krótka rozmowa upewniła mnie, że istotnie powinien być znaleźć się możliwie szybko poza obozem. Zaczęłam go badać, przeprowadzać wywiad lekarski, oczywiście w ten sposób by w pytaniach od razu sugerować odpowiedź. Patrzył nieco zdziwiony, bo zorientował się, że sugeruje mu objawy gruźlicy, posłusznie jednak odpowiadał tak jak chciałam. Wpisałam nazwisko na listę, rozpoznanie „gruźlica” i czekaliśmy na Wenera. Zjawił się w towarzystwie tłumacza, ledwo rzucił okiem na listę i na pacjenta — wybuchnął śmiechem. Opanowałam się i zapytałam o powód wesołości. Tłumacz zaczął wyjaśniać, że wygląd pacjenta nie dopuszcza myśli o gruźlicy. Teraz przyszła na mnie kolej zdumienia, że dr Werner widocznie nawet z literatury nie zna wypadków gruźlicy o przebiegu tak szybkim, że zgon następuje przy kwitnącym wyglądzie chorego. Zaczęłam podawać stwierdzone rzekomo objawy, a wreszcie podałam Wernerowi słuchawkę, proponując by sprawdził. Jakiś głos wewnętrzny podpowiadał mi, że nie będzie sprawdzał. Był znacznie młodszy ode mnie. Zmieszał się, odsunął słuchawkę i podpisał całą listę. Wyczerpała mnie ta cała scena. Zakręciło mi się trochę w głowie. Otrzeźwił mnie dopiero zachwycony szept mojego „gruźlika” — „ależ pani by grała w pokera”!

W okresie nasilenia epidemii czerwonki, obawa rozszerzenia się epidemii na cały obóz została przez nas rozdmuchana i każde zaburzenie żołądkowe było podciągane pod czerwonkę, co zapewniało choremu skierowanie do szpitala w Tworkach. Skoro więc kartki z diagnozą „Ruhr” albo „Ruhrverdacht” zaczęły się zatrzważająco mnożyć — utworzono oddział obserwacyjny w hali 2B. Na czele tego oddziału stanął właśnie wspomniany dr Anikiejew. Początkowo kierowano tam tylko podejrzanych o czerwonkę, później też z innymi rozpoznaniem, wtedy gdy Niemcy nie chcieli nam wierzyć, a nie wypadało im otwarcie rozpoznanie zakwestionować. Wytworzyła się więc sytuacja taka, że instancją kontrolną, niejako nadrzędną został Rosjanin — jeniec.

<sup>18</sup> List w zbiorach PTKN

<sup>19</sup> List w zbiorach PTKN

Jak w filmie przesuwają się w pamięci postacie pielęgniarek i sanitariuszek: Wery Sipowicz, Heleny Rogackiej, Władysławy Głińskiej, Wiesi Kosińskiej, Basi Fiałkowskiej i całej gromady innych, których nazwisk nie znałam. Sanitariuszki — ochotniczki, które niosły pomoc we wszelkiej formie, a przede wszystkim w wydobywaniu ludzi z obozu. Ryzykowały same oddając swoje przepustki i fartuchy innym i czekając w obozie na zwrot przez kogoś umówionego z zewnątrz. Ryzyko było duże, ale wtedy nie było czasu na myślenie o ewentualnych konsekwencjach. Jeżeli nie było innych możliwości wydobycia kogoś z obozu, pozostawała jeszcze gra na zwłokę, tj. zatrudnienie w obozie w charakterze sanitariuszki, sanitariusza, noszowego itp. Na te funkcje dostawali się ludzie przeróżnych zawodów: adwokaci, inżynierowie, aktorzy, robotnicy. Poza tym była jeszcze kuchnia i stajnia. Kuchnia była schronieniem na dłuższą metę, do stajni natomiast kierowało się ludzi, których trzeba było szybko wyprowadzić z obozu. (...)

W tym okresie (tzn. już w listopadzie — przyp.) wielu ludzi zawdzięczało wolność kierownikowi hali VII Stefanowi Szymańskiemu, który zawsze umiał przeprowadzić wszystko co chciał z inspektorami i „zielonym wagonem”. Lało się morze wódki. Wypalono setki cygar, ale ludzi się uwalniało. Niestety w momencie przekazywania obozu przez obersta Siebera nowemu dowództwu Szymański został aresztowany pod zarzutem „sabotażu” jak głosiła wersja oficjalna. Z nim razem został aresztowany dr Henryk Fałęcki, panie: Karczewska i Strawczyńska (żona Szymańskiego) oraz kilka innych osób, które po kilku dniach zostały zwolnione. O tamtej czwórce mówiło się po prostu „diese Juden”. Obie panie wyszły na wolność po ucieczce Niemców, natomiast Szymańskiego i Fałęckiego — rozstrzelano.<sup>20</sup>

Wspomina Kazimiera Drescherowa: „O istnieniu obozu pruszkowskiego dowiedziałam się 8 sierpnia 1944 roku od dr Jana Gallusa, dobrego znajomego naszej rodziny, ordynatora szpitala w Tworkach. 10 sierpnia ktoś przyniósł do naszego domu kartkę z dwoma wyrazami: „Pomóżcie, Stefan”. Przesłał ją mój kuzyn. Po uzgodnieniu z ojcem udałam się do lagru. Ubrałam się w biały fartuch i włożyłam opaskę Czerwonego Krzyża. Skorzystałam z zamieszania pod głównym wejściem i przedostałam się do obozu. Pomogłam Stefanowi wydostać się na wolność.

To co zobaczyłam w obozie zrobiło na mnie ogromne, przygnębiające wrażenie. Zobaczyłam upokorzenie, nędzę tysięcy ludzi. Zdecydowałam się pracować w obozie. Otrzymałam stałą przepustkę. Przynajmniej zostałam tłumaczką dr Köninga, naczelnego lekarza w obozie.

Mieszkałam u rodziców w Podkowie Leśnej i codziennie dochodziłam do obozu jak do pracy, za którą otrzymywałam zapłatę największą z możliwych — wdzięczność ludzi najbardziej potrzebujących pomocy.

Gestapo czasami nie honorowało decyzji lekarzy, nieraz warta przy bramie kwestionowała autentyczność podpisów. I nie bezpostawnie — Eryk Lipiński, któremu pomogłam uniknąć wywiezienia do Rzeszy pracował w obozie w charakterze Krangenträgena. Mieszkał w Komorowie w przeludnionym domu Zbigniewa Mitznera i dochodził do obozu. Nabył dwa kolorowe ołówki, takimi samymi posługiwali się Niemiec

<sup>20</sup> Relacja w zbiorach PTKN

lekarze i bardzo biegle podrabiał ich podpisy. Wydostał z obozu Mariana Wyrzykowskiego, Wiliama Horzycę i Tadeusza Brezę. (...)

Indywidualnie udało nam się zwolnić m.in. szczególnie zasłużonych Polaków: Stanisława Wojciechowskiego<sup>21</sup>, byłego prezydenta Rzeczypospolitej, Elżbietę Barczewską, Ewę Szelburg-Zarębinę, doc. dr. Jana Zaorskiego, aktora Jerzego Pichelskiego, pisarzy Stefana Otwinowskiego i Stanisława Dygata.

Kilkunastoosobowa grupa pielęgniarek zносиła z całego obozu materiał informacyjny, chodziły po zaświadczenia do „zielonego wagonu”, odprowadzały zwolnionych. Przez te ofiarne pielęgniarki — tłumaczki miały kontakt z wszystkimi halami w obozie. Kilka z nich wyspecjalizowało się w wyciąganiu na wolność ludzi zakwalifikowanych na wyjazd do Rzeszy. Z takiej grupy udało się nam dzięki pielęgniarkom uratować żołnierza z Westerplatte. Wielką zasługę położyła w ratowaniu warszawiaków sławna oszczepniczka Maria Kwaśniewska. Udało się nam wywalczyć wolność dla jedenastu profesorów z Politechniki Warszawskiej. Zwolnionych demonstracyjnie doprowadziłyśmy — kilkanaście pielęgniarek — do bramy obozu. Niosłyśmy ich pakunki.

25 sierpnia Niemcy dokonali ostatecznej ewakuacji szpitala Dzieciątka Jezus, szpital opuściło blisko półtora tysiąca osób. Przyjechali do Pruszkowa pociągiem towarowym po godzinie 17. Przekonałam niemieckich lekarzy, że nie należy chorych zatrzymywać w obozie, tylko wszystkich przekazać do szpitala w Tworkach. Gestapowcy upierali się, aby szpital zatrzymać i dokonać selekcji. Zapewniałam, że wśród ewakuowanych jest dużo chorych zakaźnie. Uczynili ze mnie odpowiedzialną za doprowadzenie wszystkich do Tworek. Miałam przydzielonych dziesięciu wartowników. Wyruszyliśmy późno. Do Tworek doszli tylko naprawdę chorzy. Reszta umknęła.<sup>22</sup>

Pani Kazimiera Drescherowa w swoich wspomnieniach opowiadała o działalności Eryka Lipińskiego. Aby obraz był pełny — poniżej fragmenty relacji Eryka Lipińskiego mówiące o „Zuli” Drescherowej: — „Po serdecznym przywitaniu Zula zaprowadziła mnie do oficerów lekarzy niemieckich — dr Königa i dr Klemmera, mówiąc, że jestem jej przyjacielem i choć obydwaj uśmiechali się nieco dwuznacznie, zostałem zaangażowany jako Krankenträger (pielęgniarz) w obozie

---

<sup>21</sup> 14 Z relacji Antoniego Sodulskiego: — „Obok mnie szedł, również zwolniony przez lekarza, Stanisław Wojciechowski był prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, przed wybuchem wojny naczelny dyrektor Zw.Gosp.Spółdzielni Spożywców „Społem” i mój były profesor przedmiotu „spółdzielczość” w Szkole Głównej Handlowej w Warszawie. Prof. Wojciechowski był bardzo wyniszczony powstaniem i wiekiem (w tym czasie liczył 75 lat). Wysoki, siwiuteńki, bardzo szczupły, ubrany był w podniszczony czarny surdut, na ramieniu niósł mały tobołek z rzeczami uwiązanymi do laski. Podążaliśmy przy torze kolejowym w kierunku Warszawy. Ja do Piastowa, On do Gołębek do córki i zięcia, pisarza Władysława Jana Grabskiego, syna b. ministra skarbu. Z rozmowy, którą nawiązałem z moim dawnym profesorem, dowiedziałem się, że zięć Stanisława Wojciechowskiego posiadał w Gołąbkach mały, ale bardzo racjonalnie prowadzony majątek ziemski, a córka była artystką malarką. Do nich zdążył utrudzony starszerek a drogę miał z Pruszkowa daleką, około 8 km. (Rocznik Pruszkowski 1979 s. 91).

<sup>22</sup> „Barwy” z 08.1975 r. Edmund Żurek-Pruszkowski Duląg 121 s. 13

Dulag 121 (...) Zula — wysoka, postawna, energiczna, w dodatku znająca znakomicie język niemiecki, znalazła dla siebie odpowiednie miejsce jako tłumaczka w niemieckiej komisji lekarskiej.

Oczywiście swoje stanowisko wykorzystywała przede wszystkim, aby jak najwięcej pomagać uchodźcom i aby jak największą ilość osób uratować przed wywiezieniem do Rzeszy, umożliwiając w rozmaity sposób opuszczanie obozu. Była to praca bardzo trudna i niebezpieczna, Zula musiała dobrze kombinować, żeby lekarze niemieccy nie zorientowali się w jej machinacjach. (...) Nazwiska na listach chorych początkowo najczęściej były pisane ręką Zuli z takimi odstępami, aby po zatwierdzeniu listy przez Gestapo Zula mogła w przerwach między nazwiskami wpisać dodatkowo kilka osób i kilkanaście nazwisk w zależności od wolnych miejsc. A przy bramie było wszystko w porządku, lista podpisana przez Gestapo nie budziła wątpliwości.

Lekarze niemieccy po pewnym czasie zorientowali się, że są „kiwani”, ale nie zrobili z tego użytku, wprowadzili tylko od tego czasu kolejną numerację nazwisk, a na dole wypisywali słownie liczbę chorych.

Ze praca ta była połączona z dużym niebezpieczeństwem, świadczy o tym fakt, że Kazimiera Drescherowa „Zula”, siostra Urbańska i sanitariusz Wyszyński swą odwagę i poświęcenie przypłacili wywiezieniem do Oświęcimia, skąd Wyszyński już nie wrócił<sup>23</sup>. (...)

Kiedy zorientowałem się w mechanizmach rządzących obozem, postanowiłem działać. Najpierw założyłem w obozie organizację podziemną złożoną ze mnie i sierżanta Wehrmachtu, który oczywiście nawet nie podejrzewał, że do niej należy.

Następnie wykradałem z szuflady lekarzom niemieckim kolorowe ołówki (mieli ich spory zapas), którymi podpisywali listy chorych, po czym nauczyłem się podrabiać ich podpisy, co jako grafikowi nie sprawiało mi większej trudności.

Z kolei dostałem od dr Andrzeja Garwicza spis rozmaitych chorób po łacinie i przystąpiłem do działania.

Lista chorych oprócz imienia i nazwiska musiała zawierać wiek chorego, numer kennkarty i łacińską nazwę choroby. (...) Sporządzałem więc listy fikcyjnie chorych, w ukryciu ozdabiałem podpisanymi niemieckimi lekarzy, potem prosiłem jedną z koleżanek aby zatwierdziła ją w „Grünewagen”, a następnie wręczałem mojemu sierżantowi, który z czystym sumieniem konwojował chorych do bramy, czasami nawet wykluczając się z wartownikami, jeśli próbowali kwestionować stan zdrowia kogoś z moich pacjentów.

Oczywiście korzystałem z pomocy sióstr, które znałem przedtem, do których mogłem mieć pełne zaufanie. Toteż poza Zulą Drescherową, z którą byłem zaprzyjaźniony, „pracowałem” z Marysią Kwaśniewską-Maleszowską, naszą znakomitą oszczepniczką z piękną, rudowłosą Hanką Chomiczową, której ojca dobrze znałem i jeszcze z kilku innymi siostrami. Musiałem być ostrożny, na terenie obozu kręcili się konfidenty Gestapo, a tylko w kilku wypadkach wiedzieliśmy lub domyślaliśmy się, którzy to są. A sierżantowi przynosiłem co dzień wódkę, którą wypijaliśmy razem przy czym dzielny wojownik już po kilku kieliszkach wołał: „Alles Kaputt! Hitler Kaputt! itp.

<sup>23</sup> Zginął na terenie Niemiec po oswobodzeniu obozu w Flossenburgu



Dzięki tym machlojkom udało mi się wyciągnąć z obozu Tadeusza Brezę z żoną Zofią. Breza jako chorobę miał podaną ciężą pozamaciczną. Dr Gawicz był ginekologiem i większość podanych przez niego chorób była z jego specjalności, w czym się oczywiście nie orientowałem. Marian Wyrzykowski figurował na mej liście jako Maria Wyrzykowska, Tadeusz Trepkowski miał niby lat 80, a Barbara — 9. Po prostu staruszek z wnuczką. Po podpisaniu listy przez Gestapo Maria miała dodane „n”, w nazwisku „a” zmieniłem na „i”, Trepkowskiemu połowę osiemdziesiątki wytarłem gumką i miał lat 30, a jego żonie dopisałem dwójkę — miała 29 i wszystko zgadzało się z kennkartą. Dzięki takim kombinacjom udało się wyciągnąć z obozu m.in. Elżbietę Barszczewską i Zofię Małynicz (która dotychczas, gdy mnie spotka, woła: „Zbawco”, co mnie ogromnie peszy), Tadeusza Gronowskiego, Edwarda Dziewońskiego, Antoniego Umiechowskiego, Jerzego Zawieyskiego, Antoniego Bohdziewiczza, Tadeusza Kańskiego i Janinę Niczewską, Walerego Goetla (z dużym zdziwieniem), Williama Horzycę, Monikę Żeromską z matką i wiele innych osób ze środowiska artystycznego. (...) Kilku przedstawicieli świata artystycznego udało się urządzić w obozie jako pracowników obozu. I tak moimi kolegami „krankenträgerami” byli: literat Jan Piasecki, późniejszy kierownik działu prozy w Polskim Radiu, satyryk Zdzisław Gozdawa, wieloletni dyrektor teatru „Syrena”, kierownikiem jednej z hal był aktor Włodzimierz Kwaskowski, w kuchni zupę rozlewała aktorka Rena Tomaszewska, późniejszy działacz PWST, w kuchni pracowali też jakiś czas Ewa i Stefan Otwinowscy oraz Władysław Walre.<sup>24</sup> (...)

Pan Zdzisław Zaborski pisze o dr Izabeli Wolfram: — „Była dublerem starszego lekarza pułkowego AK Okręgu Pruszków. Prowadziła szkolenie sanitariuszek, gromadziła materiały sanitarne pozostałe po kampanii wrześniowej i pochodzące ze zrzutów. Szkolenie sanitariuszek przeprowadzała na terenie szpitala, gdzie pracowały one na zasadach wolentariuszek zmieniając się co kilka tygodni. Leczyła i pomagała ukrywać rannych w akcjach, tak w szpitalu, jak też ukrytych w rozmaitych melinach. W 1944 r. przeszła do służby zdrowia w Wojskowej Służbie Ochrony Powstania. (...) Mieszkanie dr Izy, jak wiele innych, stało się punktem etapowym, przez który codziennie przewijała się moc uciekinierów. Opowiadano mi jak pewnego dnia zawieziono dwie furmanki z dziesięcioma dziewczętami wyrwanymi z obozu. Ubrane były tylko w męskie wojskowe koszule. Była to grupa harcerek z powstania, dowodziła nimi nieco starsza, już po studiach, z zawodu inżynier chemik (prawdopodobnie Izabela Dukwicz — sanitariuszka w obozie (przyp. EK). Były chore, wyczerpane, a część z nich bardzo pokaleczona. Ulokowano je w pustym mieszkaniu przy ulicy Kraszewskiego. Przez długi czas opiekowała się nimi dr Iza Wolfram, aż do chwili kiedy można już było odesłać je bezpiecznie dalej.<sup>25</sup>”

Irena Stefańska siostra 260 w obozie pisze o „wpadce” jaką miała przy wyprowadzaniu z obozu dwóch dziewcząt z AK. Z groźnej sytuacji wyciągnęła je dopiero interwencja dr Kielbasińskiej.

<sup>24</sup> Polityka nr 37/79 Eryk Lipiński, Jednoosobowa organizacja przeze mnie założona s. 15.

<sup>25</sup> List w zbiorach PTKN.

## POMOC MIESZKAŃCÓW

Codziennie przed bramą wejściową do obozu stały grupy ludzi poszukujących swoich bliskich, usiłujących pomóc, oraz zwykłych ciekawskich. Osoby mające prawo wychodzenia z obozu tj. siostry RGO, PCK, zakonnice, lekarze, personel kuchni itp. wynosili wiadomości, a zabierali do środka żywność, kartki ze słowami otuchy, ubranie.

Ludność Pruszkowa, miasta niebogatego, dodatkowo zubożonego latami okupacji dostarczała ubrań, żywności, lekarstw, bielizny i mydła. Do mieszkań pruszkowian trafiają pierwsi mieszkańcy z obozu. Nieco później więźniowie z „Dulag 121” będą znajdować schronienie we wszystkich okolicznych miejscowościach.

Komenda Rejonu AK w czasie narady 6 sierpnia postanowiła wszelkimi dostępnymi środkami pomagać wysiedlonym. Ustalono, że pomoc będzie szła trzema kanałami: poprzez RGO, przez Wojskową Służbę Kobiet i przez służbę zdrowia. Organizowanie pomocy przez RGO ułatwiał fakt, iż prawie wszyscy członkowie tej organizacji należeli do AK. RGO była w tym czasie jedyną legalną organizacją, która mogła oficjalnie nieść pomoc uwięzionym. Dowództwo „Obrozy”, które w czasie powstania zostało w Warszawie przekazało swoje zapasy finansowe — 1.500 rubli w złocie — na potrzeby więźniów. Ten złoty skarb przeniosła do Pruszkowa Helena Maliszewska. Całą sumę schowała w woreczku umocowanym wzdłuż lewego przedramienia nakrytego kocem, na drugim ręku trzymała małą córeczkę. Wyszła z Warszawy wraz z ludnością cywilną, cało przeszła przez wszystkie kontrole i po wydostaniu się z obozu przekazała całą sumę we właściwe ręce.

Chcąc pomóc zwolnionym z obozu, których też trzeba było żywić, nim wydostali się w dalsze rejony kraju — RGO zorganizowała na terenie miasta kuchnię dla dorosłych i dla niemowląt oraz prowizoryczne ambulatorium — schronisko dla osób starszych, mieszczące się w gmachu „Sokoła”. Przebywało tam kilkadziesiąt osób starszych, dołączanych przez pruszkowskich lekarzy, którzy przyjęli zasadę, że „warszawiacy nie płacą” — wszyscy wysiedleni byli bezpłatnie leczeni w Pruszkowie i okolicy. Siostry Samarytanki prowadzące zakład wychowawczy dla chłopców przy ulicy Szkolnej, w czasie nieobecności dzieci przebywających na wakacjach zorganizowały schronisko dla opuszczających obóz. Z opieki sióstr skorzystało ponad 3.000 osób. Kuchnia RGO na terenie miasta wydawała dziennie około 5.000 posiłków. Ogółem wydano wysiedlonym 478.871 posiłków. Ambulatorium i przychodnia lekarska Delegatury udzieliły w tym czasie 10.875 porad lekarskich i opatrunków.<sup>27</sup>

Delegatura RGO zorganizowała lotne kantyny pod kierownictwem inż. St. Zabielskiego, które po cenach detalicznych dostarczały nieco żywności, papierosów i przedmiotów pierwszej potrzeby. Obrót finansowy pieniędzy 25 września a 13 października wyniósł blisko 500 tys. zł. Zorganizowano też dostarczenie z zewnątrz paczek i listów. Liczba dostarczanych paczek przekraczała 300 sztuk dziennie. Honorata Kobylińska pisze: „Mój wujek, Stefan Górski, właściciel majątku Moszna koło Pruszkowa, przez cały czas trwania tej gehenny przywoził wozem żywność dla nieszczęsnych ludzi, a z powrotem wywoził warszawiaków ukrytych pod plandeką bądź jako pomocników. Kiedy po powstaniu,

<sup>27</sup> OKBZN Warszawa sygn. 23

cudem, wraz z mężem znalazłam się u wujka w Mosznie było tam kilkadziesiąt uratowanych osób”.

O brawurowej akcji uwolnienia grupy więźniów opowiada w swojej relacji Maria Sobczak-Jachecka: — „Pewnego popołudnia zjawily się w hali siostry PCK z dzbankami mleka dla dzieci i chorych. Był to również pretekst do tego co się za chwilę stało. Szeptem oznajmiły, że zamierzają wyprowadzić trochę ludzi i należy tylko cicho i spokojnie dostosować się do ich dyspozycji. Chętni oczywiście byli wszyscy: Niestety — wybrańców ok. 10 osób. Niektórym dano białe fartuchy, innym na rękę czyjeś dziecko, jeszcze inni mieli udawać kulawych i chorych. Wartownik czuwający przy drzwiach hali był zapewne przekupiony, gdyż wyjścia grupy „nie zauważył”. Kierowały nas siostry do centrum obozu. Nikt z nas nie wiedział co nastąpi dalej. Wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Takie grupki kierowano i z innych stron obozu.

W momencie gdy zbliżyli się wszyscy do bramy obozowej, jak gdyby na jakiś sygnał, dało się słyszeć potężne uderzenie w bramę, którą rozwalono ku zdumieniu strażników — powstał krzyk, strzelanina i już nie wiem co. Na okrzyk „uciekać” każdy parł przed siebie nie oglądając się.

Znalazłszy się za bramą, zgodnie z instrukcją sióstr, wpadłam do domu naprzeciwko, tam oczekującym już lokatorom rzuciłam biały fartuch i zostałam skierowana na tyły domu do ucieczki. Brnąc przez jakieś sitowia, pod mostkiem, wzdłuż jakiegoś strumyka, czy rzeczki, usłyszałam szmery — znalazłam dzieci brata, które były pod moją opieką. Razem uciekamy dalej w głąb Pruszkowa. Mieliliśmy adres życzliwych ludzi. Niestety Niemcy wzmogli oblawę na warszawiaków. Kryliśmy się więc w kartofliskach i gdzie się dało.

Później otrzymaliśmy informacje, że bramę wysadzili samochodem, ciężarówym nasi chłopcy i że było to z góry ustalone co do godziny i minuty.<sup>28</sup>

Jeszcze jedna relacja której autorką jest Zofia Zaorska: „— W pewnym momencie zauważyła mnie wśród setek ludzi pielęgniarka Aleksandra Graczykówna. Znalaliśmy się z widzenia. Gdy mnie spostrzegła, kazała natychmiast przewrócić się na ziemię i szeptem nakazała: „wysmaruj twarz ziemią i pyłem węglowym”. Leżałam, konwój oddalał się z wolna, a ona podbiegła do mnie z jakimiś osobami i z twarzą ku dołowi ułożono mnie na noszach. Wniesiono do baraku szpitalnego, okłamując hitlerowca, który stał przed barakiem, że to jest dziecko (czyli ja) znalezione, nieprzytomne, nie żywe prawie. Mogłam i tak wyglądać umazana czarnym pyłem węglowym, bo lzy to wszystko rozmazały. Ratowała mnie dalej, przeprowadzając przez komisję lekarską. Udałam ślaniającą się na nogach, z twarzą prawie przy ziemi, wleczona przez moją wybawicielkę. Potem Szpital w Tworkach... i dalej losy moje tak samo podobne do losów tysięcy, którzy uratowali się z warszawskiego piekła.<sup>29</sup>

Wśród rzeszy dzielnych ludzi o szlachetnych sercach trafiały się także jednostki z moralnością daleką od kryształowej. Władysława Piotrowska napisała: — „(...) Matka nawiązała kontakt z pewnym sanitariuszem, który po otrzymaniu od nas biżuterii, obcej waluty i pieniędzy „krakowskich” obiecał wystarać się dla siostry i dla mnie zaświadcze-

<sup>28</sup> Rocznik Pruszkowski 1979 s. 89

<sup>29</sup> Rocznik Pruszkowski 1979 s. 90.

nia o niezdolności do pracy w Rzeszy. Sanitariusz wepchnął nas wraz z matką do małego pomieszczenia gdzie było już kilkanaście osób chronionych przez niego. Tam stłoczeni czekaliśmy kilkanaście godzin. Sanitariusz po spisaniu listy „chorych” poszedł ją zatwierdzić. Po jego powrocie okazało się, że trzy osoby są skreślone, w tym moja siostra i ja.

Ktoś wpadł na pomysł, że skreślenie można wytrzeć gumką. Ponieważ nie było takiej, ktoś inny zaproponował „żabkę od pończoch”. Udało się! A sanitariusz po otrzymaniu ostatniego zdjętego z palca matki pierścionka poprawił skreślone nazwiska.

Na transport czekaliśmy jeszcze kilka godzin.

Wreszcie nie bez kłopotów, załadowano nas do węglarek, w ciasnocie nie można było nawet przykucnąć. Gdy wyjechaliśmy poza obóz, do wagonów zaczęły wpadać bochenki chleba, pęta kiełbasy, owoce itp. To mieszkańcy Pruszkowa ofiarowali nam, tak upragniony, nie widziany przez cały czas powstania — chleb. W drodze okazało się, że jedziemy do Oświęcimia. Za Kielcami mieliśmy szczęście, zapaliła się oś wagonu, a nam udało się wówczas zbiec.<sup>30</sup>

Jeszcze jedna relacja o dramatycznej ucieczce z obozu i pomocy nieznanym pruszkowianek.

Irena Marianowska pisze: — „Myśl ucieczki przyszła nagle nad ramię, była zupełnie nielogiczna, a jednak...

Rozwidniało się, kiedy rozsuwałam kolczaste druty ogrodzenia, robiąc duży otwór, a strażnik... o dziwo, odszedł dalej, nie wracał.

Zdażyłam dobiec do najbliższych wagonów, schować się w ławkę i zakryć wiekiem oraz deskami. Tak przeżyłam straszny dzień, ruch na placu, pokrzykiwania i przekleństwa Niemców, tu jednak nikt nie przyszedł. Szybko nastąpiła kompletna noc listopadowa, którą oświetlano czasem reflektorami. Szłam w zupełnych ciemnościach, potykając się i padając. Wpadłam do głębokiego dołu tak wąskiego, że z moim plecakiem nie mogłam się wydostać. Szłam dalej, aż do pojawiających się w świetle reflektorów otaczających obóz murów, nad którymi sterczały druty kolczaste. Jak wyjść? Znalazłam miejsce... słup przy murze, dalej parkan, wysoki jak mur. Po wielu nieudanych próbach, kiedy kończyły się zupełnie siły, padałam i ponownie wdrapywałam się, aż udało mi się rozsunąć druty kolczaste.

Nagle... oświetliło mnie światło reflektora — ostateczny, nieprzytomny wysiłek i spadłam pod ciężarem plecaka na drugą stronę muru, z rozerwaną o druty dłonią (do dzisiaj noszę ślad). To był szok, mocno krwawiłam i zemdlałam.

Ocknęłam się, podnosiły mnie dwie młode dziewczyny — nigdy nie zapomnę ich troskliwości z jaką odprowadziły mnie do najbliższego felczera.

Po założeniu opatrunku, dzięki nim, poznałam jeszcze niesłychana życzliwość miejscowych ludzi i zamieszkałych u nich uciekinierów z Warszawy. Łzy stają mi w oczach gdy wspominam ich wielką dobroć i ludzkość. „Może i my będziemy potrzebowali pomocy” — powiedzieli.<sup>31</sup>

W kolejnej relacji czytamy: — „Jedyną nadzieją i dostarczycielami łyżki gorącej zupy byli społeczni pracownicy RGO oraz niewielki personel lekarski zorganizowany w większości spośród wysiedlonych war-

<sup>30</sup> Relacja w zbiorach PTKN.

<sup>31</sup> Relacja w zbiorach PTKN.

szawiaków. Dzięki nim udało nam się wydostać po 3 dniach pobytu. Stamtąd trafiliśmy do Moszny pod Pruszkowem gdzie gospodarował na roli i stawach rybnych Stefan Górski. Zastaliśmy tam śpiących na dywanach, we dworcu około 30 warszawiaków, których — jak się później dowiedzieliśmy, wywiózł z obozu Stefan Górski. Codziennie dwa razy jeździł furmanką dostarczając kartofle, kapustę, marchew i sło-  
ninę dla kuchni RGO.

Z powrotem zaś wywoził ludzi ukrytych na wozie lub przebranych w furmańskie fartuchy.<sup>32</sup>

Tu wszyscy pochłonięci byli niesieniem pomocy warszawiakom — odpowiada mgr Józef Zieliński, jeden z głównych współorganizatorów opieki dla warszawiaków: działalność Kolejowej Opieki Społecznej w Pruszkowie oficjalnie sprowadzała się do pomocy niesionej polskim kolejarzom i ich rodzinom. Faktycznie objęto nią także ludzi wysiedlonych z Warszawy. KOS w Pruszkowie udzielała wypędzonym pomocy lekarskiej, pieniężnej, dostarczała ubrań, pościeli, środków odżywczych dla dzieci, lekarstw — również podstępnie zdobywanych ze składnicy leków Międzynarodowego Czerwonego Krzyża znajdującego się pod opieką Niemców. Wielu Żydom wydaliśmy zaświadczenia pracy — co niejednokrotnie uchroniło ich od śmierci.

Całą akcją KOS-u kierował początkowo Stanisław Piaścik a następnie ja przyjąłem jego funkcję.

Współpracowali z nami kolejarze: Jan Belczewski, Jan Bochenek, Kołakowski i inni.<sup>33</sup>

## WSPÓLPRACA ZE SZPITALAMI

Jeszcze w lipcu 1944 roku powołana została na terenie naszego szpitala Rada Robotnicza — wspomina dyrektor Państwowego Szpitala dla Nerwowo i Psychiczenie Chorych w Tworkach — dr Feliks Kaczanowski. Ten zespół ludzi niesłychanie, sprawnie pokierował akcją pomocy Warszawie w dramatycznych dniach powstania.

Jednym z zadań jakie wzięliśmy na siebie, była ewakuacja szpitala Dzieciątka Jezus. Sytuacja jaką zastaliśmy w tym szpitalu była tragiczna. Chorych transportowaliśmy pod ostrzałem. Większość z nich została uratowana.

Po stworzeniu przejściowego obozu dla uchodźców z Warszawy w halach Warsztatów Kolejowych w Pruszkowie, zadaniem naszym było objąć tych ludzi opieką lekarską. W praktyce oznaczało to nie tylko niesienie pierwszej pomocy, ale pod pozorem choroby zakaźnej, wyciąganie bardziej zagrożonych lub słabszych do naszego szpitala, a także ułatwianie im ucieczek w czasie transportu. W tej akcji szczególnie wyróżnili się ofiarnością lekarze: Dr Ryniewicz, dr Krasowska, dr Bobrowska, dr Szupryczyński prezes PCK p. Lewandowski i wielu innych.<sup>34</sup>

Alina Olszewska — „Z obozu w Pruszkowie, gdzie znalazłam się 13 sierpnia 1944 r. (po dniu i nocy spędzonych na „Zieleniaku”) zostałam wraz z moją 6-letnią córeczką zwolniona dzięki interwencji Zuli Drescherowej i dr Jana Gallusa, podówczas ordynatora szpitala w Twor-

<sup>32</sup> Relacja w zbiorach PTKN.

<sup>33</sup> Trybuna Mazowiecka nr 30/64, Przyszań w piekle — Janina Godlewska.

<sup>34</sup> „Trybuna Mazowiecka” op.cit.

kach. Dr Gallus zaproponował mi pracę na organizowanym przez siebie oddziale dla chorych warszawiaków jako siostry PCK. Dzięki tej funkcji posiadałam stałą przepustkę do obozu i miałam możliwość uwolnienia wielu ludzi. (...) Dyrektorem szpitala w Tworkach był dr Edward Gustaw Steffen. Działalność dyrektora i lekarzy ograniczona i utrudniona była przez niemieckiego zarządcę szpitala.

W pracy lekarskiej dr Gallusowi pomagały 2 warszawskie lekarki: dr Leśkiewiczowa i dr Dąbrowska. Na oddziale pracowało 5 siostr, z których tylko jedna była zawodową pielęgniarką. Niestety nie pamiętam ich nazwisk poza najmłodszą 18-19-letnią Dąbrowską — córką wspomnianej dr Dąbrowskiej. Na oddziale znajdowała się znaczna liczba chorych cierpiących głównie na czerwonkę. Była też liczna grupa ludzi wyciągniętych pod pretekstem choroby z obozu pruszkowskiego. Umożliwiali im to uniknięcie wywieżenia do Rzeszy i stanowiło chwilowy azyl. Warunki szpitala były jednak bardzo złe. Marne wyżywienie (na obiad najczęściej zupa z brukwi), brak podstawowych leków, ciasnota pomieszczeń przy wzrastającym natłoku chorych przyczyniły się do wzrostu zachorowań, ze stałą obawą wystąpienia epidemii. W tym celu udano się — za zezwoleniem zarządcy szpitala — do Warszawy, do Szpitala Dzieciątka Jezus przy Nowogrodzkiej po zaopatrzenie w najpotrzebniejsze leki i środki opatrunkowe. Wchodziłam w skład tej ekipy. Dobrze pamiętam tę makabryczną drogę od Dworca Zachodniego do Szpitala wśród wymarłego płonącego miasta."

Jan Machnicki — cz. Prezydium Stołecznego Komitetu Samopomocy Społecznej zeznając jako świadek w procesie L. Fischera powiedział: „— Na odcinku Warszawa—Grodzisk mieliśmy dwadzieścia kilka szpitali. W samym Milanówku było ich 13. Sytuacja szpitali była tego rodzaju, że np. w Tworkach, gdzie szpital przystosowany był na maksimum 800 chorych — mieściło się w pewnych momentach powyżej 4 tysięcy”.<sup>35</sup> Miejsowości ze szpitalami w których rozmieszczano chorych: Pruszków, Okęcie, Konstancin, Skolimów, Piaseczno, Grójec, Piastów, Podkowa Leśna, Milanówek, Grodzisk, Żyrardów, Skierniewice, Łowicz. Wspomina dr Edward Stefan (syn Edwarda Gustawa): — „Pracowałem wtedy w szpitalu miejskim na oddziale zakaźno-wewnętrzny. Był on położony tuż obok obozu wysiedlonych z Warszawy i dlatego właśnie miał do spełnienia bardzo ważne zadania. Lekarze zatrudnieni w obozie na terenie warsztatów kolejowych kierowali masowo na mój oddział szpitalny chorych podejrzanych o chorobę zakaźną. W wielu wypadkach była to tylko próba uwolnienia ludzi z obozu. Zdarzało się tak, że pacjenci obozowi wchodziłi jednymi drzwiami do szpitala, a drugimi wychodzili. Byli oni natychmiast zabierani i chronieni przez mieszkańców Pruszkowa i okolic. Pewnego razu jedna z chorych w obozie napisała kartkę adresowaną do doktora Steffena. Wiedziała że ja i mój ojciec pracujemy tutaj. Kartka ta dostała się w ręce Gestapo, które zaraz przyjechało po mnie, a potem po ojca. Zawieźli nas do swojej siedziby w Pruszkowie. Przesłuchiwali, ale jakoś zdołaliśmy się z tego wywinąć. Po paru godzinach nas zwolnili. Nie tylko my byliśmy narażeni, wszyscy odpowiadali za to, co się działo, wszyscy lekarze i pielęgniarki byli jednakowo ofiarni (...).”<sup>36</sup>

<sup>35</sup> AGKBZH NTN sygn. 71 s. 943.

<sup>36</sup> „Magazyn Rodzinny nr 2/77 Irena — Rybczyńska — Podwójny jubileusz doktora.

## POMOC ZE ŚWIATA

Pierwsze informacje o gehennie warszawiaków w obozie pruszkowskim zostały przekazane na zachód za pośrednictwem powstańczej radiostacji.

Henryka Zdanowska pisze: „— Łączniczki VI Rejonu przeniosły przez front do Warszawy odezwę do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża mówiącą o gehennie ludności znajdującej się w obozie Dułag 121. Odezwa była nadana przez radio „Błyskawica”. Cały świat dowiedział się o strasznych warunkach stworzonych warszawiakom przez nieprzyjaciela.”<sup>37</sup>

3 września „Rzeczpospolita Polska” ogłosiła komunikat Reutera: „Pomoc dla Pruszkowa”. Jak donosi radio londyńskie z Berna szwajcarskiego — Międzynarodowy Czerwony Krzyż wysłał do Pruszkowa 130 ton żywności.

Radio szwajcarskie doniosło: „12 samochodów ciężarowych z żywnością wysłanych ze Szwajcarii do Krakowa zostało skierowane do obozu w Pruszkowie, w którym ginie z głodu 100 tys. Polaków ze stolicy”. 13 września na teren obozu przywieziono pierwszą przesyłkę darów MCK — sardynki, mleko i śmietanę w proszku, ubranka dla dzieci, środki opatrunkowe itp.

Pod koniec września dotarły dalsze przesyłki MCK. „Personel medyczny najbardziej ucieszyły — pisze Julia Bielecka — dwa wagony leków ze Szwajcarii; a szczególnie surowica przeciwplącznicza i przeciwżółcowa oraz insulina.”<sup>38</sup>

Pomoc MCK była rezultatem akcji podjętej w wyniku apelu walczącej Warszawy przez czynniki polskie w stolicach państw neutralnych.

Pod adresem rządu Trzeciej Rzeszy posypały się interpelacje tych państw.

## WIZYTA DELEGACJI MCK

W początku września Niemcy otrzymali zapowiedź wizyty delegacji Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Rozpoczęto intensywne przygotowania. 5 września przed południem do bozu przybył sam Erich von dem Bach. Generał pytał polski personel o zachowanie się Niemców, interesował się brakami i bolączkami. Podobno nawet fotografował się ze starszkami. Zachęcał do mówienia prawdy i stawiania pytań. Tego samego dnia ksiądz Tyszką i dr Mazurkiewicz zostali wezwani przez Diehla do zielonego wagonu. Diehl zażądał podpisania deklaracji o następującej treści: „My niżej podpisani, kierownicy polskiego komitetu RGO, współpracownicy i współpracowniczkę stwierdzamy swoim podpisem, że oswojona spod terroru cywilna ludność Warszawy, która znajduje się obecnie w Pruszkowie, w obozie dla wysiedlonych, o ile na to pozwalają warunki, ma ona dostarczone pożywienie i zapewnioną opiekę lekarską. Stwierdzamy, również, że żadne nadużycia i bezprawia nie mają miejsca oraz, że ze strony

<sup>37</sup> Henryka Zdanowska ps. „Barbara” była referentką łączności VI Rejonu w VII Obwodzie AK „Obroża”. Relacja w zbiorach PTKN.

<sup>38</sup> Relacja w zbiorach PTKN.

władz niemieckich polski komitet RGO nie doznał żadnych trudności w niesieniu pomocy materialnej i duchowej. My niżej podpisani stwierdzamy, że powyższe wyjaśnienie składamy bez przymusu, na życzenie władz niemieckich.”<sup>39</sup>

Zarówno ks. Tyszka jak i dr Mazurkiewicz odmówili podpisania tego oświadczenia. Wówczas Diehl zagroził wymianą personelu obozowego z polskiego na niemiecki.

Wobec takiej alternatywy, pod polską wersją tego oświadczenia podpisy złożyli dr Jadwiga Kielbasińska, ks. Edward Tyszka, dr Władysław Mazurkiewicz, przełożona pielęgniarek — siostra Alicja Tyszkiewicz, Maria Bogucka — kier. Kuchni i Kazimiera Drescherowa — pielęgniarka.

Deklaracja ta ukazała się w godzinowym „Nowym Kurierze Warszawskim” w treści jeszcze bardziej wypaczonej na korzyść Niemców.

18 września do obozu przyjechał tak długo oczekiwany delegat MCK dr Wyss. W uporządkowanym i oczyszczonym obozie było niewiele osób. Wywożeni na roboty do Niemiec mieli jedyną okazję pojechać tam wagonami typu „pulman”. Wtedy też sprowadzono wagon-odwieszalnię. Gromadka dzieci pod opieką zakonnicy przygotowała się starannie do opuszczenia obozu. Zahamowano transporty do obozu, w przypiętym tempie natomiast wywożono chorych i niezdolnych do pracy. Zaopatrywano w żywność kuchnię. Do tak przygotowanego obozu można było już wpuścić przedstawiciela opinii światowej.

#### SPRAWOZDANIE DR PAULA WYSSA z GENEWY (WYCIĄG)

„Przyjeżdżam do obozu około godz. 10,30. Spotyka mnie komendant obozu płk Sieber. Zgodnie z moją prośbą zebrał on personel polski — razem jakieś 20 osób — składający się z lekarza naczelnego, lekarzy,

aptekarza, prezesa i członków tzw. „Polnischer Hauptausschuss”<sup>40</sup>, księdza obozowego itd. Oddaje mi do rozporządzenia lokal biurowy w gmachu administracji obozowej. Rozmowa odbywa się w obecności przedstawiciela Ministerstwa Spraw Zagranicznych p. radcy poselstwa d-ra Janz’a.

Przyjemnie jest mi stwierdzić tu z uznaniem, że dr Janz, któremu polecono ułatwić mi zadanie, wywiązał się z tego polecenia z taktem i uprzejmością. Był on obecny przy moich rozmowach z Polakami przysłuchując się im pozostawił mi przy tym zupełną swobodę działania i ani razu nie wtrącał się do rozmowy.”

#### UWAGI OGÓLNE

Od 6 sierpnia do 18 września 1944 roku według obliczeń kontroli niemieckiej przybyło do obozu w Pruszkowie 238.218 osób. Z tego 128.371 osób uznano za zdolne do pracy i przewieziono je do Niemiec, 109.847 uznano za niezdolne do pracy i zwolniono je po przewiezieniu do miejsca ich nowego zamieszkania.

<sup>39</sup> AGKBZH NTN sygn. 75 ś. 996.

<sup>40</sup> Rada Główna Opiekuńcza (RGO).



Obóz rejestruje dziennie 2 do 4 tys. osób przybywających do obozu, liczba ta wszakże wzrosła w sierpniu do 40.000, jednak przybycie 40.000 było przypadkiem bardzo rzadkim (3—4 razy)

### Warunki i pomieszczenia:

W każdej hali umieszczono do 8 tys. osób jednocześnie. Internowani nie mieli łóżek, ani desek, ani słomy do spania, ale uznałem, jak mi się wydaje słusznie, że lepiej iż tak było. Istotnie nie należy zapominać, że panuje tam wielki ruch i sprzątanie hal jest prawie niemożliwe, z drugiej znów strony wszyscy prawie internowani spędzili kilka godzin w piwnicach w Warszawie i są pokryci robactwem. Można łatwo sobie wyobrazić, że warunki higieny pogorszyłyby się jeszcze jeżeliby była słoma.

W ciągu kilku godzin zamieniłaby się ona w proszek i przy zamiataniu powietrze stałoby się niemożliwe do oddychania. Hale te nie są oświetlane nocą i komendant obozu wytłumaczył mi, że oświetlenie jest niemożliwe wskutek niemożności zaciemnienia olbrzymich szyb okien górnych i bocznych.

Hale na razie są nieopalone. Ogrzewanie ma być wprowadzone za kilka dni, jak mi to oświadczył płk Sieber. Kołder nie ma. Uciekinierzy muszą się okrywać swoimi łachmanami. Niemcy oświadczają, że nie mogą sprowadzić kołder.

Polacy rozmieszczeni są w obozie rodzinami lub indywidualnie. Jeżeli noc jest pogodna liczni mieszkańcy, śpią pod gołym niebem na placach oddzielających hale — wołają oddychać czystym powietrzem.

Kuchnie są dobrze urządzone, wielkie kotły są stale pod ciśnieniem, istnieje kuchnia specjalna dla małych dzieci od 1 do 1,5 roku, są obszerne pomieszczenia do przechowywania zapasów warzyw i chleba.

### Pożywienie.

- a) Dorośli: dorośli otrzymują trzy posiłki dziennie.  
Jadłospis: rano — czarna kawa bez cukru, 250 g chleba bardzo dobrego gatunku,  
południe — zupa z włościzny i kartofli, nie bywa nigdy tłuszczu ani mięsa:  
wieczór — kawa czarna bez cukru, od czasu do czasu zupa, 250 g chleba:
- b) dzieci: dzieci także otrzymują trzy posiłki dziennie:  
rano — zupa z mleka odtłuszczonego (dwa razy na tydzień), zupa kleik (w inne dni):  
południe — zupa kleik, ale gęściejsza niż rano, e  
wieczór — to samo co rano:

### Przesyłki zbiorowe:

W dzień mego przyjazdu zawartość wagonu z Genewy była rozdzielana zarówno w samym obozie jak i częściowo w szpitalach obsługujących obóz. Drugi wagon miał być rozdzielony nazajutrz czyli 19 września. Te dwa wagony nadeszły — jeden 12-go, drugi 15 września. Oczywiście nie potrzebuję podkreślać radość jaką przybycie tych dwóch wagonów wzbudziło w polskim personelu lekarskim obozu oraz wśród członków „Polnischer Hauptausschuss”.

Wyznaczono specjalnie pewną damę polską do prowadzenia ściślejszej rachunkowości artykułów żywnościowych otrzymanych i rozdanych.

Dr Lampprecht, niemiecki lekarz obozowy, bezzwłocznie wręczył wszystkie papiery dotyczące tych dwóch wagonów przedstawicielom „Polnischer Hauptausschuss” pozostawiając im całkowitą swobodę co do rozdziału żywności i lekarstw wg uznania.

Szczegółowo zbadałem zapasy żywności otrzymane z Genewy i mogłem przekonać się, że prowadzenie rejestru i porządek były bez zarzutu.

Z rozmów jakie przeprowadziłem z przewodniczącym „Hauptausschuss'u” w Krakowie wynika, że wysyłanie wagonów przeznaczonych dla Pruszkowa powinno być kierowane do „Hauptausschuss'u” w Krakowie, ten sposób byłby lepszy.

Istotnie ten organ właśnie jest punktem centralnym wszelkiej pomocy polskiej dla ludzi dotkniętych klęską wojny w Guberni Generalnej i dla wywiezionych do Reich'u.

Z drugiej strony nie należy zapominać, że sytuacja wojskowa może szybko się zmienić, zwłaszcza na odcinku warszawskim. Byłoby więc pożądane z kilku względów, żeby nasze wagony przychodziły do Krakowa, położonego o więcej niż 80 km od linii frontu, mogłyby być szybko przetaczane na Pruszków lub do innego miejsca przeznaczenia — z jednej strony. Z drugiej strony — „Hauptausschuss” krakowski lepiej orientujący się co do potrzeb szpitali, mogłyby dokonać rozdziału bardziej sprawiedliwego. Atmosfera w Krakowie jest spokojniejsza niż w okolicach Warszawy.

Oczywiście przesyłki przeznaczone dla obozu w Pruszkowie jak i dla okolicznych szpitali byłoby również kierowane do Krakowa, do „Polnischer Hauptausschuss”, lecz z zaznaczeniem na paczkach, skrzyniach i papierach — dla obozu w Pruszkowie.

#### Księża.

Jest trzech księży rzymsko-katolickich w samym obozie. Główny jałmużnik, proboszcz Wiktor Bartkowiak powiedział mi, że jest około 10 księży w różnych szpitalach okolicznych. Odprawia on na halach mszę w każdą niedzielę. Byłby rad otrzymać ze sto litrów wina mszalnego dla swoich księży.

#### Dyscyplina.

Personel polski oświadcza mi, że dyscyplina jest dobra i że Niemcy (SS i Wehrmacht) są poprawni w stosunku do uciekinierów przebywających w obozie.

#### Rodziny rozproszone.

Jak już zaznaczyłem na początku rozdziału „Obóz w Pruszkowie”, mężczyźni niezwłocznie po przybyciu do obozu są rozdzielani, a następnie, jeżeli są zdolni do pracy zaraz wyjeżdżają do Niemiec.

Obecnie gdy napływ jest mniejszy i biura niemieckie mogły się zorganizować, można dowiedzieć się do jakiej części Niemiec oni się udają. To samo odnosi się do kobiet, które zostały wywiezione bez rodziny. Tak nie było na początku i dziesiątki tysięcy mężczyzn i kobiet było wywiezionych i odłączonych od rodzin — które — zarówno

jak i władze — nie wiedziały gdzie się oni znajdują. Codziennie nadchodzą setki zapytań o rodziny rozproszone, mężów, żony, rodziców, dzieci tych wywiezionych. „Hauptausschuss” stworzył biuro poszukiwań. Biuro to jest czynne ale z powodu braku materiału — kartotek, rejestrów, formularzy, a także braku doświadczenia i dobrej organizacji praca jest trudna i moim zdaniem niedokładna.

Wykazałem w ogólnych zarysach p. Prezesowi Tchorznickiemu, jak moim zdaniem należy postępować i zwróciłem uwagę jego na to, że teraz, gdy w kartotekach jest około 10.000 karteek, system ten może być stosowany, ale gdy Biuro jego będzie znane i w Polsce i w Niemczech gdzie znajdują się osoby wywiezione i gdy zapytań będzie o wiele więcej, biuro jego nie będzie w stanie sprostać zadaniu.

Zarówno Polacy w obozie, jak i p. Prezes „Hauptausschuss'u” skarżyli się, że niżsi funkcjonariusze „Arbeitasant'u” nie liczyli się dostatecznie z otrzymanymi zarządzeniami i brutalnie rozłączali rodziny wywożone do Niemiec. W środę 20 i czwartek 21 września 1944 r. zwróciłem się do wyższych urzędników zajmujących kierownicze stanowiska w GG, żeby poruszyć z nimi tę ważną kwestię, która nie może być obojętna dla delegata MCK. Wszyscy potwierdzili, że wydano zarządzenie, żeby rodziny możliwie nie były rozłączane. Zarządzenie głosi, żeby rodziny, których członkowie są zdolni do pracy w stosunku ponad 50% nie były rozłączane.

Na skutek mojej interwencji obiecano mi — w szczególności przyrzekł mi to prezes Graushaar i sam Gubernator Generalny, który przyjął mnie w czwartek 22 września, że zarządzenia te będą potwierdzone i że będzie się szczególnie brało pod uwagę stronę humanitarną tego ważnego zagadnienia”.

Jak wspomina dr Wyss, 21 września został on przyjęty przez Generalnego Gubernatora Hansa Franka. W protokóle z tego spotkania czytamy — „Dr Wyss, który w towarzystwie prezydenta prof. dr Teitge i dwóch przedstawicieli MSZ Rzeszy wizytował obóz przejściowy Pruszków, w którym umieszczono Polaków — uciekinierów z Warszawy przedstawił swoje wrażenie z pobytu w tym obozie. Może on stwierdzić, że ze strony niemieckiej zrobiono wszystko, żeby złagodzić w miarę możliwości los uciekinierów.

W związku z tym prof. Teitge komunikuje, że chyba około 500.000 ludzi wydoszło się z Warszawy (...).

Również obaj przedstawiciele MSZ Rzeszy (...) odnieśli wrażenie, że w obozie Pruszków dla obecnie tam ulokowanych 42.000 Polaków — mężczyzn, kobiet, dzieci i starców — robi się wszystko co tylko możliwe, żeby złagodzić ich los. Pan Generalny Gubernator wyraża delegacji i przede wszystkim delegatowi dr Wyss'owi swoje podziękowanie i uznanie za ich działalność, wyraża swoje zadowolenie, że przynajmniej do pewnego stopnia udało się pomóc uciekinierom, którzy przez zbrodnię i szaleństwo powstania w Warszawie dostali się w tak okropne położenie”.<sup>41</sup>

•A w notatce sporządzonej na okoliczność wizyty przez urzędnika Wydziału Gł. Administracji Wewnętrznej GG zapisano: „Pan delegat przeprowadził teraz wywiad z poszczególnymi panami i pan delegat mógł się przekonać o tym, że podawane w międzynarodowej prasie

<sup>41</sup> AGKBZH sygn. 115 ob.

wiadomości o obozie są istotnie fałszywe. Pan delegat przyznał, że rząd niemiecki miałby według prawa wojennego niewątpliwie prawo zabijania osób cywilnych przychodzących z terenu zajmowanego przez bandy.<sup>42</sup>

Z zeznań dr Lubomira Dontena — lekarza kolejowego w Pruszkowie: „Za czasów Sieberta naczelnym polskim lekarzem została mianowana dr Kielbasińska, która miała zaufanie Niemców podobnie, jak dr Rudzki. Gdy na teren obozu przybyła delegacja MCK, delegat na zebraniu polskich lekarzy bez udziału Niemców (wg protokołu delegata MCK obecny był Niemiec Janz — radca MSZ — przyp. EK), zadał obecnym pytanie czy lekarze niemieccy honorują zwolnienia lekarzy polskich. W odpowiedzi zabrała głos dr Oszkielowa, mówiąc, iż władze niemieckie nie honorują zwolnień lekarzy polskich. Na to dr Kielbasińska i dr Rudzki gorąco zaprzeczyli i stwierdzili, że lekarze niemieccy zawsze akceptują rozpoznanie polskich lekarzy. Następnym tego było wezwanie dr Oszkielowej do „zielonego wagonu” gdzie musiała się tłumaczyć ze swojego stanowiska, następnie zabroniono jej wstępu na teren obozu.<sup>43</sup>

## LOSY POWSTAŃCÓW PO KAPITULACJI

W pierwszych dniach października po dramacie kapitulacji i składowania broni Barbara Mołojec Bernatowicz z Żoliborza trafiła do hali nr 7 w Pruszkowie.

Przywieziono tu samochodami dużą grupę powstańców z Żoliborza, wśród których znalazła się również grupka ałowców. Małej powstańczej grupce nadal towarzyszyła obawa przed dekonspiracją. „— Z członkami urgupowań Iewicowych Niemcy nie żartowali. Trzeba było znaleźć jakieś wyjście. — Następnego dnia przywieziono do obozu dużą grupę akowców z Kampinosu — opowiada pani Barbara — zwracał wśród nich uwagę porucznik w pełnej partyzanckiej gali. Wzbudzał zaufanie. Postanowiliśmy zaryzykować i powiedzieć „mu kim jesteśmy. Porucznik bez wahania zgodził się przyjąć nasz oddziałek AL jako swój.

W obliczu niebezpieczeństwa, w pobliżu wspólnego wroga żołnierska i powstańcza solidarność, bez względu na przekonania polityczne jeszcze raz zdała egzamin. — Obok bloku „jenieckiego” odgradzonego niewysokim płotem z drutu znajdował się obozowy „szpital”, do którego zwożono rannych i chorych ze wszystkich szpitali powstańczej Warszawy. Nawiązaliśmy kontakt z naszymi ludźmi znajdującymi się w szpitalu. Okazało się, że niektórzy chcieli przenieść się ze szpitala do naszego bloku, który miał być wysyłany do obozów jenieckich.

My natomiast uzyskaliśmy informacje, że ze szpitala jest możliwość wydostania się na wolność. Do szpitala można było się dostać jedynie w celu zmiany opatrunku.

Ja wyszłam z powstańczych walk jedynie z niewidoczną kontuzją spowodowaną bliskim wybuchem bomby, trzeba było więc znaleźć jakieś wyjście. Zabrakło odwagi aby „uszkodzić” — nogę przemyconym do bloku kamieniem, koledzy też nie chcieli się podjąć tego zadania.

<sup>42</sup> op.cit.

<sup>43</sup> OKBZN w Warszawie sygn. 23.

Wreszcie ktoś wpadł na pomysł, żeby zagipsować zdrowe kolano. I tak się zaczęło.

W powstańczej torbie ocalało trochę bandaży. Parę bandaży gipsowych przemycono ze szpitala. Zagipsowałam więc swoje kolano i tak zdobyłam „przepustkę” do szpitala. W szpitalu umieszczono mnie wśród innych chorych. Po jednym czy dwóch dniach w trakcie większego zamieszania zdjęłam gips z nogi i przy pomocy personelu stałam się jedną z sanitariuszek. Reszta alowskiej grupki pozostała pod życzliwą opieką porucznika i niedługo potem została wywieziona do obozów jenieckich”.

Po pewnym czasie, przy pomocy radzieckiego jeńca — lekarza Barbara Bernatowicz otrzymała przepustkę i odąd zaczęła pomagać innym: — sama osobiście gipsowałam zdrową rękę „Oli” (Helenie Kozłowskiej członkowi KC PPR) i z grupą innych, tak samo zagipsowanych autentycznych rannych wywiozłam z terenu obozu, chłopską furą do jednego ze szpitalików utworzonych w okolicznych miejscowościach. Akcją ratowania ludzi przed wywozem do Niemiec nabrała rozmachu. Duszą tego przedsięwzięcia był jeniec radziecki (dr Anikiejew — przyp. EK) i młoda sanitariuszka przychodząca do pracy spoza obozu. Ta dziewczyna była podobna do tej ze zdjęcia w „Expressie” (Maria Wardalińska z domu Jaksz — przyp. EK) — powinna pamiętać tego lekarza. Oni pomogli mi zainstalować się na terenie szpitala.

Lekarz-Rosjanin załatwił przepustkę na poruszanie się po całym terenie obozu, a następnie wystąpił o przepustkę pozwalającą opuszczać obóz. Przepustka ta oddawała mi nieocenione usługi aż do wyzwolenia. Dzięki pomocy radzieckiego lekarza udało się uratować wielu ludzi. Między innymi w obozowym szpitalu znalazła się córka Bolesława Bieruta, Krystyna wraz z matką. Gdy gazety zaczęły podawać informacje o działalności Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego zawisło nad nimi niebezpieczeństwo — trzeba było natychmiast zorganizować akcję ratunkową. Szczęśliwie udało się je wysłać do Końskich, do centralnego punktu RGO, a stamtąd w teren do tworzonych w majątkach ziemskich małych szpitalików.<sup>44</sup>

Najciężej ranni z alowskiego oddziału zostali przewiezieni do szpitala psychiatrycznego w Tworkach i dzięki troskliwej opiece tamtejszego personelu medycznego szybko wylizali się z ran i następnie wydostali na wolność.

Ogółem do niewoli niemieckiej poszło zgodnie z umową kapitulacyjną w dniach 4 i 5 października 11.668 powstańców, wśród nich generałowie: Bór-Komorowski, Grzegorz Pełczyński, Łaszcz-Skroczyński, Monter-Chruściel, Sęk-Bokszczański, Kossobudzki, Prut-Sawicki.<sup>45</sup> Ze szpitali w Śródmieściu ewakuowano około 4000 rannych. Jeńców odprowadzono w większości do Ożarowa i częściowo do Pruszkowa, skąd rozsyłano ich do obozów jenieckich. Powstańcy, którzy do Pruszkowa przybyli z Mokotowa 28 września w ilości 1200 osób — kolumnami przemaszerowali przez obóz i zostali wywiezieni w zaplombowanych wagonach. Tegoż dnia, około szesnastej przybyła do obozu dele-

<sup>44</sup> Express Wieczorny z 23/24.VI.79 r. s. 3 „Żołnierska Solidarność” — Edward Kołodziejczyk.

<sup>45</sup> J. Kircgmeier, Powstanie Warszawskie s. 418.

gacja AK w składzie: ppłk po cywilnemu z opaską b.czerwoną na ramieniu, dr Bartosiewicz — kierownik szpitala na Jaworzyńskiej oraz dr Tarnowska jako przedstawicielka Czerwonego Krzyża. Delegacja po zapoznaniu się ze stanem obozu wyjechała do Milanówka i Podkowy Leśnej do tamtejszych szpitali.

Według innego źródła: „26 września w dniu upadku Mokotowa przybyli do obozu trzech oficerowie AK w mundurach z dystynkcjami. Oficerowie zwiedzili obóz. Wywabieni w pewnym momencie spod czujnej opieki oficera SS do umywalni, pod pretekstem umycia się, oświadczyli: „skończyło się wszystko, innej rady nie ma”.<sup>46</sup>

Według relacji tego samego świadka potwierdzonej także w innych relacjach „Oddział AK który przybył 26 września został izolowany w hali 7. Zaraz pierwszego dnia SS wpuściła do hali kilku Niemców, którzy byli w niewoli AK. Chodząc z kijami w rękę wśród powstańców kilku z nich wyprowadzili za magazyn z jarzynami i poczęli bić kijami, zwłaszcza jednego po obandażowanej głowie, tak że bandaż zaczerwienił się świeżą krwią. Zbitych zaprowadzono do „zielonego wagonu” gdzie urzędował Diehl. Powiadomiony przez personel płk Sieber zażądał od Diehla natychmiastowego uwolnienia grupy powstańców twierdząc, że jeńcy wojenni należą do Wehrmachtu, a nie do SS. Temu oddziałowi AK esesmani wydali polecenie zdjęcia polskich orzełków z beretów. Kiedy powstańcy nie podporządkowali się temu rozkazowi zjawili się esesmani z nożami i podcinali orzełki opornym. Powstańcy zachowali całkowity spokój.<sup>47</sup>

## TRANSPORTY

Po selekcji przywiezionych warszawiaków, sprawnie działająca mimo bliskości frontu, machina niemiecka, wywoziła więźniów pociągami do celu przeznaczenia. Najszybciej wyjeżdżali ci, którzy byli kierowani do roboty, a więc względnie młodzi i zdrowi.

Pozostali zależnie od tego jak szybko mógł być dostarczony tabor kolejowy.

Z relacji Julii Bielkiej — „Transporty, nawet te najszcześniejsze kierowane były do Łowicza, Kielc, Opoczna, Częstochowy, Piotrkowa itp. odbywały się w warunkach urągających wszelkiemu pojęciu o ludzkim traktowaniu, zwłaszcza gdy się weźmie pod uwagę, że byli tam kierowani ludzie chorzy, kobiety ciężarne oraz kobiety z dziećmi. Podróż odbywała się w otwartych wagonach towarowych. Jeszcze w sierpniu i pierwszej połowie września nie było może tak tragicznie, ale przecież szła jesień, zimne noce, deszcze — podróż stawała się prawdziwą gehenną. Najgorsze były transporty robocze, zwłaszcza w początkowej fazie obozu, kiedy transporty odbywały się w wagonach zaplombowanych, gdy nie pozwalano nikomu podejść z wodą czy żywnością. Niemcy doskonale zdawali sobie sprawę z potworności tych warunków, gdyż z całym cynizmem dyskutowali, jaki też procent dojeżdże żywych. Przy załadowywaniu transportów specjalną dzikością i okrucieństwem odznaczał się inspektor Kretschmer. Niski, drobny,

<sup>46</sup> AGKBZH Akta spr. Fischera T. I zeznania św. W. Mazurka.

<sup>47</sup> op.cit.

o błędej twarzy wykrzywionej jakimś nerwowym grymasem rzucał się pomiędzy ludzi popychając, bijąc i kopiąc. Najlżejszy protest ze strony lekarzy, gdy dosłownie z rąk wyrwał ludzi chorych, wywoływał u niego atak furii. Gdy miał wysłać transport roboczy wpadał do ambulatoriów i grożąc rewolwerem zabraniał przyjmowania chorych.<sup>48</sup>

Aleksandra Borysiewiczowa trafiła pod Częstochowę: — O zmierzchu wywołano nas. Szliśmy, ósemkami, przez szpaler Niemców ponieważ wśród idących kryło się wielu młodych ludzi. Załadowano nas do wagonów towarowych, odkrytych. Noc była przejmująco zimna. Ruszyliśmy. Szyldwach był już porządnie pijany. Młodzi skakali z wagonów w noc. Byliśmy pewni, że wiozą nas na stracenie, ale znaleźliśmy się w Woli Grzybowej pod Częstochową, dojechali rzeczywiście chorzy, ranni i starzy — połowa tego co załadowali w Pruszkowie.<sup>49</sup>

Transporty chorych, starych i matek z dziećmi przeznaczone do Generalnej Guberni szły początkowo (do połowy sierpnia) w rejon Łowicza, później w rejon Piotrkowa Trybunalskiego i Częstochowy (przełom sierpnia i września), a także do Jędrzejowa, Krakowa, Zamościa i Skarżyska-Kamiennej.

Osoby młode, podejrzano o udział w powstaniu były przesłuchiwane przez Gestapo, a następnie wywożone do obozów koncentracyjnych w Oświęcimiu, Mauthausen, Revemsbrück (12 sierpnia wysłano tam transport 12.000 kobiet). Dachau, Gross-Rosen, Sachsenhausen.

Większość transportów na roboty przymusowe skierowano do obozów pracy m.in. w Halle, Groningen, w rejon Hamburga, Stuttgartu, do Bawarii, Brandenburgii oraz na Pomorze.

Oto niektóre dane liczbowe z pracy Wydziału Ewidencyjno-Informacyjnego przy Delegaturze RGO w Pruszkowie kierowanego przez Stefana Cichońskiego. Zadaniem tego wydziału było poszukiwanie rodzin wywiezionych na roboty do Rzeszy i zbieraniem informacji o nich. Obozów pracy przymusowej w Rzeszy, do których wysyłano z obozu w Pruszkowie naliczono 120. Obozów dla jeńców wojennych — 30. Odezwawało się z Rzeszy w poszukiwaniu swych rodzin zaledwie od sierpnia do grudnia 1944 r. — 1954 osoby, a w styczniu 1945 — 2175 osób. Od sierpnia do grudnia otrzymano ok. 12 tys. zapytań od osób poszukujących swych bliskich.<sup>50</sup>

W sierpniu i wrześniu 1944 roku do powiatu łowickiego skierowano 5 transportów oficjalnych, liczących 14.634 osoby: ponadto przybyło około 16.000 uciekinierów (łącznie ponad 30.000 osób). Do końca listopada liczba ta podniosła się do 36.792 osób. Transporty te były najpierw kierowane do obozu w Małszycach, a następnie rozlokowano je w poszczególnych gminach.<sup>51</sup>

Marianna Pietrzak zamieszkała wtedy w Błędowie koło Łowicza wspomina: — „we wszystkich okolicznych wsiach — w Chaśnie, Wiciu, Boczkach, Kocierzewie, Róźycach, Mariance, w każdym domu gdzie był wolny kąt mieszkali uciekinierzy. Czas był trudny, wojenny, Niemcy ściągali kontyngenty, z żywnością było krucho, a tu trzeba było

<sup>48</sup> Relacja w zbiorach PTKN.

<sup>49</sup> Relacja w zbiorach PTKN.

<sup>50</sup> OKBZN w Warszawie sygn. 23.

<sup>51</sup> Sprawozdanie Polskiego Komitetu Opiekuńczego w Łowiczu za sierpień i wrzesień 1944 r. do RGO w Krakowie, AAN, RGO, 501, k. 341.

podzielić się ze wszystkimi. U nas była matka z trojgiem kilkuletnich dzieci, zabiedzeni.

Pracowita była kobieta, pomagała, rwiała się do roboty, nawet jak nie było potrzeby. Na wiosnę czterdziestego piątego pomagała w polu, wyprowadzała krowy na pastwisko, pomagała jak mogła. Gdy krowy poszły na zielonkę zaczęły dawać więcej mleka, dzieci odżywiły się, były takie jak i matka, chętne do pomocy chociaż małe. Gdzieś w czerwcu, kobieta ta wzięła dwoje: najstarszego i najmłodszego i pojechała do Warszawy. Długo nie dawała znaku życia, ale jesienią wróciła po średniego. Dziękowała wszystkim na odchodnym, a i nam przykro było się rozstawać bo już się zżyliśmy...”

Polski Komitet Opiekuńczy w Sochaczewie odnotował przybycie z Warszawy na teren tego powiatu, w okresie od 1 września do 1 grudnia 1944 roku 153 000 ludzi. Po rozlokowaniu ich w powiecie liczba osób przypadających na jedną izbę zwiększyła się z czterech do siedmiu.<sup>52</sup>

Do powiatu grójeckiego przybyło po powstaniu 82 000 osób. Wystąpiły ogromne trudności z rozlokowaniem takiej masy ludności. Na początku stycznia 1945 r. około 1000 osób z powodu braku lokali mieszkało w stodołach.<sup>53</sup>

## LIKWIDACJA OBOZU

Mniej więcej w drugiej połowie października ewakuacja ludności cywilnej z Warszawy dobiegła końca. Przybywały jeszcze tylko niewielkie grupki. Ewakuowano ostatnie szpitale.

1 listopada — píše Julia Bielecka — dowództwo obozu podziękowało wszystkim za pracę.

Zatrzymano 3 lekarzy i 14 sanitariuszek, zredukowano personel kuchni, w stajni zostało tylko parę osób.

Obóz stracił swój poprzedni charakter. Wprawdzie przybywały nowe transporty, ale te już nie pochodziły z ewakuacji Warszawy lecz z łapanek, które urządzano co pewien czas na terenach podwarszawskich jak Grodzisk, Milanówek, Podkowa Leśna, Komorów, Piaseczno, Jeziorna, Konstancin — słowem wszędzie gdzie usiłowali znaleźć schronienie nieszczęśliwi warszawiacy.

W tym okresie zamknięto wszystkie prawie hale. Czynna była tylko hala 7 otoczona drutem kolczastym z posterunkiem przed bramą. Nie było już wtedy dr Königa — zastąpił go dr Weigel. Był to młody lekarz ustosunkowany do nas bardzo życzliwie. We wszystkich sporach z inspektorami Arbeitsantu, zwłaszcza z najgorszym z nich, z Kretschmerem, brał zawsze zdecydowanie naszą stronę, tak dalece, że walczył o to, by lekarze Polacy mieli prawo orzekania o niezdolności do pracy bez odwoływania się do lekarza niemieckiego.

Po objęciu władzy przez nowego komendanta, obóz ostatecznie zmienił charakter stając się punktem zbornym dla łapanek. Ludzi zatrzymanych zapędzono do kopania rowów przeciwczołgowych i innych ro-

<sup>52</sup> Sprawozdanie Polskiego Komitetu Opiekuńczego w Sochaczewie do RGO w Krakowie AAN, RGO, 509, k. 214. †

<sup>53</sup> Pismo Polskiego Komitetu Opiekuńczego w Grójcu do RGO w Krakowie z 2.01.1945. AAN, RGO, 500, k. 489.



bót. Władzę przejął właściwie Arbeitsamt, wojsko dawało tylko ochronę. Inspektorzy pełniący służbę w obozie Geisler i Kneller mieli zupełnie ludzkie odruchy (w przeciwieństwie do Krestchmera), a w ogóle byli to ludzie zmęczeni, którzy mieli już całkowicie dosyć wszystkiego.

Bądź co bądź był to już grudzień 1944 r.

Obóz zlikwidował się sam 16 stycznia 1945 roku gdy Niemcy uciekli w popłochu. Jeszcze 10 stycznia w obozie było 700 ludzi pochodzących z łapanek na dworcach kolejowych, 13 stycznia zastałam tam jeszcze kilka sanitariuszek oraz kilkunastu rannych i chorych żołnierzy radzieckich wziętych przez Niemców do niewoli. Czynna była też kuchnia.

EDWARD KOŁODZIEJCZYK